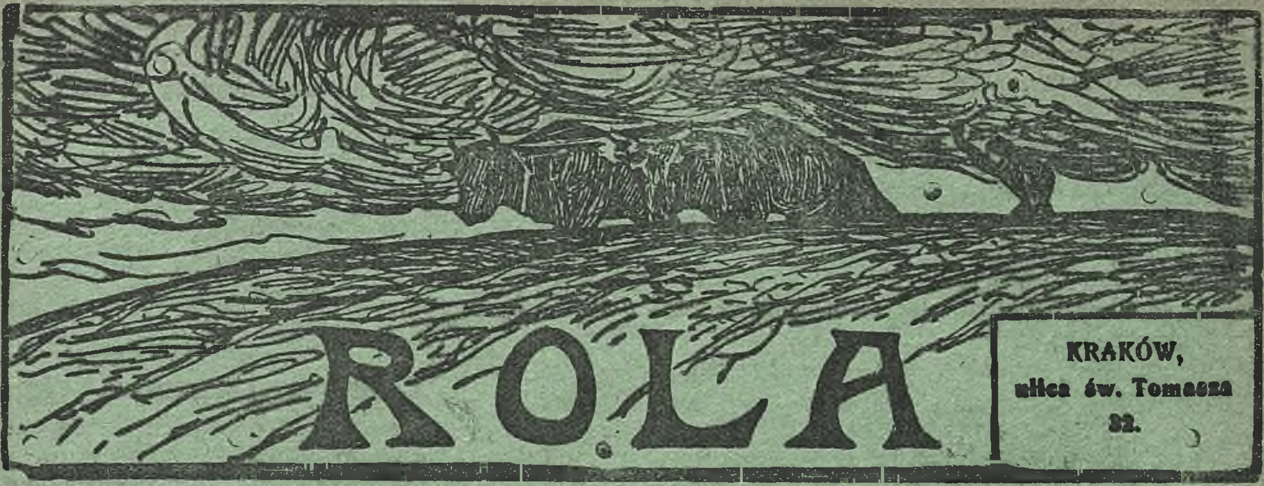
Numer 48 Nal. poczt. opl. rycz. Dnia 27 Listopada 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Poco naco...

Jurek, niepoprawny próżniak i cygan budzi się pewnego poranku i stwierdza, że nie ma grosza przy duszy.

„Nie pozostaje więc nic innego, jak bogato się ożenić“ — myśli sobie.

Nie namyślając się długo, biegnie do biura pośrednictwa małżeństw, gdzie mu prezentują ofertę na trzydziestolatkę z 100.000 zł.

„Zgoda“ — na to Jurek.

„Dobrze, ale mnie należy się 100 zł. zadatku“ — zauważa pośredniczka.

„Co? 100 zł. — oburza się Jurek — Pani myśli, ja mając 100 zł. w kieszeni, bym się żenił?“



Profesor i kandydat.

Przed egzaminem spotyka profesor jednego z kandydatów ze smutną miną w przedpokoju komisji egzaminacyjnej.

„Cóż to z Panem się dzieje?“ — pyta egzaminanta.

„Panie doktorze — wzdycha młody człowiek — nie zdam egzaminu. Moja głowa to istna pustynia!“

„No! No! — uśmiecha się dobrotliwie profesor — chyba są w tej pustyni jakie oazy?“

„Tak — rzecze kandydat — tylko pytanie, czy osły je znajdą?“

Profesor ratuje tonącego.

„Ratunku! Tonę! Rzućcie mi pas ratunkowy“.

Profesor wskazuje na trzy pasy, wiszące na poręczy mostu:

„Który Pan sobie życzy?“



A może jednak możliwe...

„Nie rozumiem Pana poprostu! Przed czterema tygodniami mówiłem Panu, że piwa Panu pić nie wolno, a dziś Pan znowu pyta mnie o pozwolenie!“

„Panie doktorze, myślałem, że nauka lekarska postąpiła od tego czasu naprzód“.

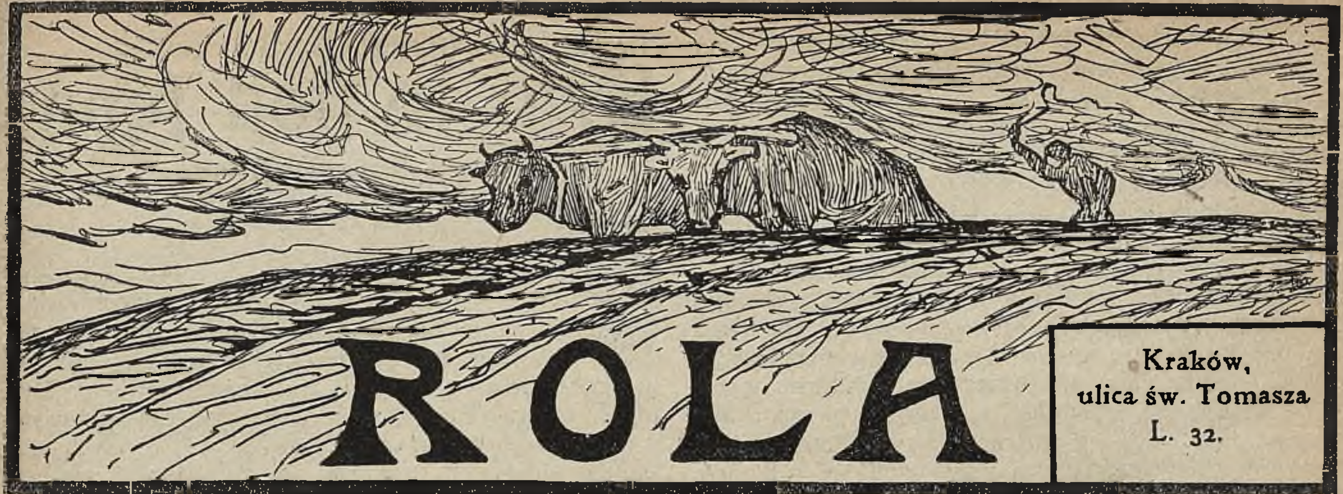


Żebrak.

Żebrak dostał od litościwej pani znoszone spodnie. Obraca je na wszystkie strony i ogląda dokładnie:

— A możeby tak litościwa osoba dała jeszcze pięć złotych na chemiczne pranie?

Numer 48. X. Rok Kraków, dnia 27 Listopada 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł. półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

O prawie życia i śmierci.

W rzucie pobieżnym, ale charakterystycznym doszliśmy do tego jaka jest różnica między człowiekiem a zwierzęciem. Jak myślisz Czytelniku — czy to jest wielka różnica? Co to znaczy umysł dający się rozwijać? Znaczy, że staje się zdolnym do dociekania. Staje się zdolnym do odróżnienia. Biorąc w rękę kwiat i oglądając jego budowę, umysł zachwyca się, poczem pyta skąd się to wzięło i szuka. To jest dociekanie. Gdy pozwolimy sobie połknąć alkoholu, umysł mówi: podniecenie, na drugi dzień mówi: wyczerpanie. To jest zdolnością odróżniania. Co to jest wolna wola? Wiem, że mi smakuje chleb pszeniczny razowy i wychodzi na zdrowie, ale mnie się podoba zjeść żydowskie ciastko, po którem czuję niestrawność. Mógłbym wprawdzie zapracować na chleb, ale mnie się podoba zamordować bliźniego i obrabować. Próbuję ukraść mimo protestu sumienia, opierając się na tej pociesze: nikt mnie nie złapie. To jest wolna wola. Zwierzę nie docieka, ani odróżnia poza jedzeniem, czyli ma umysł automatyczny i nie ma wolnej woli, ale instynktową, za którą ślepo idzie. Czy to jest różnica? Ogromna!

Komu wiele dano, od tego wiele się wymaga. Dlatego człowiek za swoją wolną wolę jest odpowiedzialny. Co to jest odpowiedzialność? Jestto uczucie mające związek z sumieniem. Jestto bat sumienia. Ciężar przybierający w miarę postępu złego czynu. A przed kim jest człowiek odpowiedzialny, gdy kierunek wolnej woli jest fałszywy? Przed prawem boskiem, a prawo boskie jest wyryte w duszy każdego człowieka. A ponieważ nosi człowiek prawo w sobie, jest on równocześnie sędzią samego siebie i sam siebie karze. Przeto za złamanie boskiego prawa kara być musi, przed którą ucieczki niema. Jako przyrodnik, mówię o prawie wyłącznie przyrodzonem, a nie o prawie społecznym. Proszę pamiętać. Gdyż wykroczenia przeciw boskiemu prawu często nie są objęte kodeksem społecznym, chociaż z tych wykroczeń powstaje to, co dziś jest najgorszego. Też proszę pamiętać. To się wyjaśni później.

Całemu światu żyjącemu naznaczonym został czas trwania, poczem stary ginie, a młody zastępuje jego miejsce. Życie jest tak pospolite, dlatego, że wydaje się być czemś zwykłem, a nawet niegodnem uwagi. Ale niech mi kto powie: co to jest życie?

Do dziś dnia żadna nauka nie znalazła jeszcze formułki na oznaczenie życia, a zatem jestto objekt wyłącznie boski, wymykający się z pod ludzkiego sądu, czyli tajemnica zwykłemu rozumowi rozwiązać się niedająca. Ale prawo życia daje się już obserwować a nawet streścić. Z tych obserwacyj wynika, że zwierzęta wyższego stopnia, do których i człowiek fizycznie należy, żyją pięć razy tak długo jak rosną. Raczej dłużej niż krócej. Rośnienie polega na wydłużaniu się kości, co trwa znowu tak długo, póki one nie stwardnieją przy swych chrząstkowatych końcach. Przeto czas ukończonego wzrostu daje się dokładnie oznaczyć. Żeby lepiej to zrozumieć, podam kilka przykładów:

Koń, rośnie pięć lat, a żyje 25—30 lat i dłużej, wół rośnie $3^1/_2$—4 lat, a żyje 20—25 lat i dłużej, słoń rośnie 30 lat, a żyje 150—200 lat. Człowiek zaś rośnie 24—26 lat a żyć ma temsamem prawem 120—130 lat i dłużej. W tych latach, między 120—130 powinno dopiero wejść we władanie człowieka naturalne prawo śmierci. Biblijne podania tej statystyce sprzeciwiają się, gdyż mówią, że człowiek wzorując się na wieku swojego praojca Adama, który żył lat 930, powinienby żyć równie tyle. Pramatka Ewa żyła o 10 lat dłużej od Adama, Noe 950 lat, a Matuzalem 969 lat.

To co Pismo św. do wierzenia podaje, trzeba wierzyć — zatem to jest prawda. Nasza statystyka obecna jest również prawdziwa, bo jak powiedziałem prawo życia daje się obserwować, a tymsamym streścić. Oglądnij się zatem Czytelniku po świecie zwierzęcym i ludzkim. Cóż zobaczysz? Że to co powiedziano o zwierzętach zgadza się, a co powiedziano o człowieku nie zgadza się! W którymś numerze „Roli" podano statystykę długości życia człowieczego — proszę odszukać i porównać! Cóżto się stało zapytasz? Żeby jeden na pięćset ludzi dożył lat 60! Żeby prawie ćwierć ludzkości ginęła przed siódmym rokiem życia?! Żeby jeden na parę set miljonów dożył wieku oznaczonego naszym wykazem?! A jakżeż to możliwe?!

Ot, stanąłeś bracie przed zagadką! Poważną, bo chodzi o życie! Ale gdy streścisz prawo tego życia, o które tak chodzi, powtórzysz za Schretterem: „Ani klimat, ani inne wpływy, tylko sam człowiek, przez swoje zwyczaje i nałogi, skraca swe życie". Tłumacząc to powiedzenie jasno, to dar wolnej woli nie wychodzi na zdrowie, czyli, że stał się on raczej skłonnym do nadużyć, że znalazł się wobec bezcennego daru bożego jak lekkomyślny dzieciak bawiący się ogniem z pieca. Boć taż sama wolna wola mogła być użyta w kierunku dobra, mogła zdziałać raj na ziemi wedle przeznaczenia, a stworzyła piekło, cierpienie i niewolę. Tysiące chorób dziesiątkuje ludzkość, wszędzie pełno widzisz zdechlaków, prawie nie spotkasz człowieka bez wady organicznej, a przytem jeszcze tyle pychy i zarozumiałości na dowód, że człowiek nietylko nie rozumie, że sam stał się przyczyną własnego upadku, ale także czemraz zatraca zdolność oceniania. Zuchwałe głosy pod adresem Stwórcy, przekleństwa, oto dowód, że człowiek poczuł odpowiedzialność wobec prawa, że osądził się sam i karę ponosi sprawiedliwą, tylko, że nie chce uznać się winnym w zaślepieniu. Ot i zagadka zwolna poczyna się rozwiązywać.

Wchodząc w dziedzinę prawa śmierci, które również daje się obserwować, nadmienić wypada, że człowiek schodząc ze świata naturalnym porządkiem, wyczuwa śmierć jak coś rozkosznego i słusznie się należącego. Wiekowy starzec mówi o śmierci, jak o kochance, widzi ją w apoteozie, światło, wonie i kwiaty towarzyszą fantazji i nadzieje wielkie o pewnem ziszczeniu. Bowiem wiekowy starzec oddaje ducha swego doskonałego w ręce mistrza z tą świadomością, że za trud życia w ciągłej wstrzemięźliwości, w bezustannem zwalczaniem pokus, spocznie w błogiej wieczności dozwalającej widzieć to czego niezasłużone oko zobaczyć nie może, ani umysł zgłębić: cuda wieczności. A zapewne są rozkoszne o jakich nie śniło się filozofom! Jest nagroda boża! Tak jak jest cel życia. Żyć dobrze, to walczyć z sobą znaczy! Żyć dobrze to dzieło, sztuka i ten tylko może spodziewać się nagrody, kto w obliczu Stwórcy stanie w aureoli pogodnej starości i powie: Wypełniłem Panie!

Ale proszę mnie nie posądzać o jakiś mistycyzm dewotki, lub brać za zdecydowanego klerykała! W księdze Przyrody nauczyłem się czytać, ot i cała rzecz. Wolno mi się zachwycać i Wam ze mną; wolno mi dążyć do celu drogami o których piszę i Wam ze mną. Ktoś przecie pójdzie, a jakto iść, trzeba wytłómaczyć, trzeba jeszcze parę pogawędek z Wami przeprowadzić, abyście mogli osądzić czy w istocie życie Wasze jest dobre, czy też na inną wejść drogę należy.

Bo dotychczas przedstawiłem jak wygląda Bóg i Jego prawo, a następnie mówić będę o przyczynach upadku człowieka: o chorobach, jakich w wolnej Przyrodzie się nie spotyka.

Ludwik St. Unsing.

W pamiętniku M. M.

Jak gwiazdy na szafirach dwie gnane przez cienie,
Raz zbliżą się ku sobie i znowu oddalą,
Tak myśmy się spotkali na jedno westchnienie
I nami los pomiecie niewstrzymaną falą.
Ciebie tylko mniej może odemnie zasmuci
I złote, choć na chwilę da szczęścia uśmiechy —
Mnie znowu na tułacze ścieżyny zawróci
I wiecznie będę dumał bez twojej pociechy...

W. Hlousek.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

IX.

Odtąd podróż odbywałem spokojnie i szczęśliwie. Grześ, nauczony krakowskiem doświadczeniem, już gorzałki nie pijał i trzymał język za zębami.

Tak się przeląkł niebezpieczeństwa, które nam w Krakowie groziło, że na wszelkie pytania po karczmach i zajazdach, dokąd jedziemy, nie odpowiadał wcale, albo, zasłyszawszy coś, że w Czechach, które koniecznie przebyć musieliśmy, znajdują się wody mineralne w Karlsbadzie, do których wielu Polaków jeździ, prawił:

— Jedziewa do Karlsbadu, bo mój panicz jest chory i ja też.

A gdy kto, patrząc na nasze zdrowe miny, dziwił się temu, odpowiadał:

— Bo jest choróbsko skryte. A kto nie wierzy, to niech sobie idzie na złamanie karku i tylo!

Wiadomości te, jeżeli z jednej strony pocieszały mnie, że nakoniec przyszła chwila, w której duma i buta pruska będzie poskromioną, i że ja będę mógł wziąć udział w tej wojnie, to z drugiej strony lękałem się, bym, wjechawszy w ziemie niemieckie, nie natknął się na jaki oddział pruski i nie był przez niego zagarnięty. A przytem myślałem sobie tak:

— Jeżeli wojna w rzeczy samej została wypowiedziana, i jeżeli armja francuska jest już w ruchu, to z pewnością i legjon polski, kwaterujący w Strasburgu, wyruszył także w pochód, a z nim i Tadzik Skalski. Jeżeli więc jest tak, a inaczej być nie może, to gdzie ja będę szukał Tadzika i co się ze mną stanie?

Oczywiście martwiło mię to srodze i niepokoiło bardzo. Ale że nic poradzić nie mogłem, więc zdałem się na Opatrzność Boską i jechałem dalej. Tak w końcu września przejechaliśmy granicę czeską i znaleźliśmy się poza władzą „krowich nóg", której się tak Grześ obawiał. W Bawarji czuliśmy się już spokojniejsi. Ale spostrzegaliśmy i tu wielki ruch z powodu zapowiedzianej wojny, i obawa, byśmy nie byli zagarnięci przez jakie wojska niemieckie, stawała się z każdym dniem większą, zwłaszcza, że jak się dowiedziałem z gazet, które teraz wszędzie, gdzie tylko mogłem, pilnie odczytywałem, król pruski pomaszerował na czele swej armji do Saksonji, ażeby ją zmusić do przymierza ze sobą. Wprawdzie Bawarja, w której się teraz znajdowałem, była sojuszniczką Francji, ale właśnie dlatego mógł tu wpaść jaki oddział pruski i gdyby mię spotkał na swej drodze, byłoby ze mną bardzo krucho. Tem było to niebezpieczniejsze, że jechałem północną częścią Bawarji, a więc graniczącą z Saksonją, ale mimo mogącego stąd wyniknąć dla mnie groźnego wypadku, kierunku tego nie opuszczałem, bo szło mi o pośpiech i o jak najprędsze dostanie się do Strasburga.

Niebawem jednak, mimo usilnych moich starań, miałem się zetknąć, i to dość nieprzyjemnie, z wojskiem, a raczej z drobnym oddziałkiem, jak wspominałem, najbardziej dokuczliwym i niebezpiecznym dla takiego, jak ja, pojedynczego podróżnego, nie posiadającego żadnych paszportów, bo w tym kraju pisma ks. Czartoryskiego nie mogły mieć znaczenia,

siąd mocno podejrzanego. Przytem po drodze dowiedziałem się, że takie drobne oddziałki, wysyłane z większych korpusów na podjazdy, dopuszczają się licznych nadużyć, a nawet rabunku. A ja miałem przy sobie, w trzosie, kilka tysięcy talarów w srebrze i złocie i byłem sam, prawie bezbronny...

Otóż co mnie spotkało, a choć rezultat ostateczny tego zdarzenia wypadł bardzo szczęśliwie, jednakże najadłem się strachu, nieprzyjemności i strat do sytu.

Od paru dni padały deszcze nieznośne; popsuły drogi, przemoczyły nas do nitki i dokuczyły nam tak, że wlokąc się po rozmiękłych gościńcach od rana, postanowiliśmy z Grzesiem zatrzymać się, dobrze przed wieczorem, w pierwszej lepszej napotkanej wiosce, przenocować tam, wypocząć sobie i dać też wytchnienie mocno zmęczonym koniom. Byliśmy w górach, które w tych okolicach dochodzą do znacznej wysokości. Wlokąc się wolno, dobiliśmy się koło godziny piątej po południu, przy mroku zapadającym już w tych górskich stronach, do jakiejś niewielkiej wioski, która, jakem się później dowiedział, nosiła nazwę Bergthalu.

Rozłożyliśmy się wygodnie w austerji. Konie i wózek wprowadzono do obszernej stajni, gdzie im Grześ zaraz nasypał obroku do żłobu, mnie zaś gospodarz, poczciwe jakieś opasłe Niemczysko, dał na pięterku osobną stancję, wydzieloną, czyściutką, z łóżkiem pełnem pierzyn i poduszek. Rozgościwszy się w tej stancji, umieściwszy tam swe rzeczy, zeszedłem na dół, do dużej izby karczemnej, gdzie dla mnie i Grzesia pieczono na ogromnym kominie tłustą gęś na wieczerzę. W izbie, oprócz mnie, gospodarza i jego żony, zajętej wraz z młodą dziewczyną około gęsi, było jeszcze trzech miejscowych mieszkańców. Przywitali mię oni bardzo grzecznie, rzucili kilka pytań w swem miejscowem narzeczu, które zaledwie przez pół zrozumiałem, i więcej się mną nie zajmowali, gwarząc ze sobą i gospodarzem, o ile pojąć mogłem, o zaczynającej się wojnie i o jej niebezpieczeństwach.

Usiadłem sobie koło komina na ławce, a znużenie i miłe ciepło, bijące od wielkiego ogniska, sprawiły, żem się zdrzemnął nieco. Jak długo spałem, nie wiem. Nagle obudziło mię silne szarpnięcie. Otworzyłem oczy i najprzód uderzył moje powonienie przyjemny zapach pieczonej gęsi, rozchodzący się po izbie, a potem ujrzałem Grzesia, jak stał przedemną nachylony, mając swe wyłupiaste oczy wlepione we mnie z wyrazem przestrachu.

— Paniczu! — wołał — wojaki jakieś przyszły!

Zerwałem się na równe nogi i spojrzałem dokoła.

Izba od gorejącego na kominie ogniska była źle oświetlona i po kątach jej wielkie tłukły się cienie. Drzwi do sieni były na oścież otwarte i wpadał przez nie chłodny, wilgotny pęd powietrza. Oprócz mnie, Grzesia i dziewczyny, stojącej przy kominie, nikogo więcej w izbie nie było; z sieni tylko dochodził gwar kilku zmieszanych głosów, między którymi rozróżniać się dawał gruby, chrapliwy i rozkazujący jakiegoś mężczyzny, oraz cienki dyszkant gospodarza i płaczliwy jęk jego małżonki. Z dziedzińca austerji rozlegał się tentent koni, nawoływania, krzyki, brzęk szabel, co wszystko tworzyło nieznośny chaos i wrzawę, nadzwyczaj niemiłe wrażenie robiące po niedawnej słodkiej ciszy.

W jednej chwili zrozumiałem całe niebezpieczeństwo mego położenia. Jeżeli to są Prusacy — zginąłem, jeżeli zaś Francuzi, to przecież chyba nic mi złego zrobić nie mogą. Taka w jednej chwili myśl przebiegła mi przez głowę, ale doskonale to pojmowałem, że tak Prusacy, jak i Francuzi wcale niemiłymi są gośćmi. Czas był wojenny, żołnierz rozdrażniony i rozzuchwalony i pytanie, czy nawet Francuzi będą chcieli wysłuchać mych wyjaśnień. Byłem sam, bez paszportów, jechałem bryczką i łacno mogłem być wzięty za szpiega. A wiadomo, że w czasie wojny nikt sobie nie robi ceremonji z podejrzanymi ludźmi, zwłaszcza podróżnymi, przejeżdżającymi przez kraj, zajęty wojną.

— Cóż to za wojsko? Niemcy, czy Francuzi? — spytałem wystraszonego i oglądającego się trwożliwie dokoła Grzesia.

— A kat ich tam wie! Widzi mi się, że Prusaki, bo po niemiecku szwargoczą.

— Niechże nas Bóg od tego broni! — rzekłem i począłem wsłuchiwać się w gwar, dochodzący z sieni i podwórza.

W rzeczy samej mówiono po niemiecku i do tego narzeczem miejscowem, nie byli to więc Francuzi, ale też prawdopodobnie nie byli i Prusacy. Najprędzej był to jakiś podjazd wojsk miejscowych, bawarskich.

— Co robić, paniczu? — pytał Grześ.

Po chwilowem wzruszeniu uspokoiłem się zupełnie i odzyskałem krew zimną.

— Nic — odrzekłem — czekajmy! A tymczasem wyjmij z pieca brytwannę z gęsią. Zabierzemy się do niej, bom głodny, jak pies. Szkoda, żeby ją zjedli wojacy.

Grześ drżącemi rękami zabrał się do wykonania mego rozkazu, ale zaledwie pachnącą rozkosznie gęś postawił na stole,gdy do izby z brzękiem i trzaskiem weszło kilku oficerów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaloty.

On: Hej dziewczko moja miła,
Czemuś oczka tak spuściła,
Czemuż ci tak liczko płonie,
Jak mak kraśny na zagonie?



Ja tak pragnę w twoje oczy
Patrzeć, jak na cud uroczy,
By wyczytać w nich prawdziwą
Miłość wielką i szczęśliwą...

Ona:

Ej, muszę się spytać matki —
Niedaleko stąd do chatki,
A ona mi już poradzi,
Czy twe serce mnie nie zdradzi,

Bo jam biedna, — tyś bogaty;
Tobie trzeba w posag chaty,
A ja nie mam — jeno cnotę
I na niebie słonko złote.

— — — — — — — — —

Młodzian już nie mówił wiele,
Ale spraszał na... wesele!

Robert Rydz.

Sierota.

WPani Helenie Singer-Krzyżanowskiej
w dowód wdzięczności. *Autorka.*

Ubogo odziana, malutka, może dziesięć lat licząca dzieweczka szła krokiem powolnym, znużonym drogą prowadzącą do miasta...

Zaciekawiona, skąd to dziecko idzie, wszczęłam z nią rozmowę, z której się dowiedziałam, że dziewczę to nie ma już rodziców, i że idzie szukać chleba do miasta... Szła już tak cztery dni, jadła, gdy ją ktoś suchą kromką chleba obdarzył, a zapijała gorzkiemi łzami, lub wodą źródlaną.

— Czemu nie jesteś w swej wsi rodzinnej, lecz porzuciłaś ją, by iść wśród obcych, całkiem ci nieznanych ludzi — spytałam.

— Ach, pani! — odrzekła mi — służyłam we wsi u bogatej gospodyni, pasłam parę sztuk bydła, lecz gdy mi raz uciekły, tak mię zbiła i precz wypędziła, więc już nie szukałam we wsi pracy, bo dziadek mój, który kawał świata zwiedził, opowiadał, że w mieście można sobie radę dać, więc idę, może się znajdzie jaka litościwa pani, która mię przyjmie i do szkoły pośle. Chciałabym się uczyć, a we wsi nie mogłam, gdyż gospodyni w pole z bydłem pędziła.

— A co ty już umiesz — spytałam.

Odrzekła mi, że dziadek uczył ją czytać, pisać i historji o dawnych królach.

Wzruszyła mię do głębi swemi wywodami i musiałam przyznać w duchu, że dzieweczka ta posiada niezwykłą bystrość umysłu i wrodzoną inteligencję, do czego jej tylko potrzebna opieka w domu i szkole, by wyrosła na pożyteczną pracownicę w społeczeństwie...

I ogarnęłam myślą miasto, czy znajdzie się ktoś, któryby się mógł i chciał zająć temi wrodzonemi zdolnościami, czy nie wpadnie ta dziewczyna w tłum wielkomiejski, jak kropla do morza?

Marzy o nauce, a czy ma pewność, że ją zdobędzie, kto wie, co się z nią stać może,czy obcą, gdy wpadnie do miasta nie zmiażdżą koła tramwajowe lub automobilowe.

Ta główka, jak len biała, te oczka chabrowe, czy nie połknie ogromna paszcza molocha?

Było mi ogromnie nieswojo, i o dalszym ciągu snułam smutne spostrzeżenia.

Jest wielu ludzi, którym brak celu w życiu, nudzą się, życie im się z nadmiaru rozkoszy uprzykrza, a gdyby oni się zajęli wygrzebywaniem takich wrodzonych zdolności, gdyby obcowali w towarzystwie tych rozmarzonych główek, wtedyby mogli doświadczyć prawdziwego szczęścia, bo dzieci te swym szczebiotem potrafią osłodzić niejedną gorzką chwilę, mają możność wprowadzenia duszy w fantastyczne krainy śnień i marzeń niewinnych, jak ich szczebiot wiosenny...

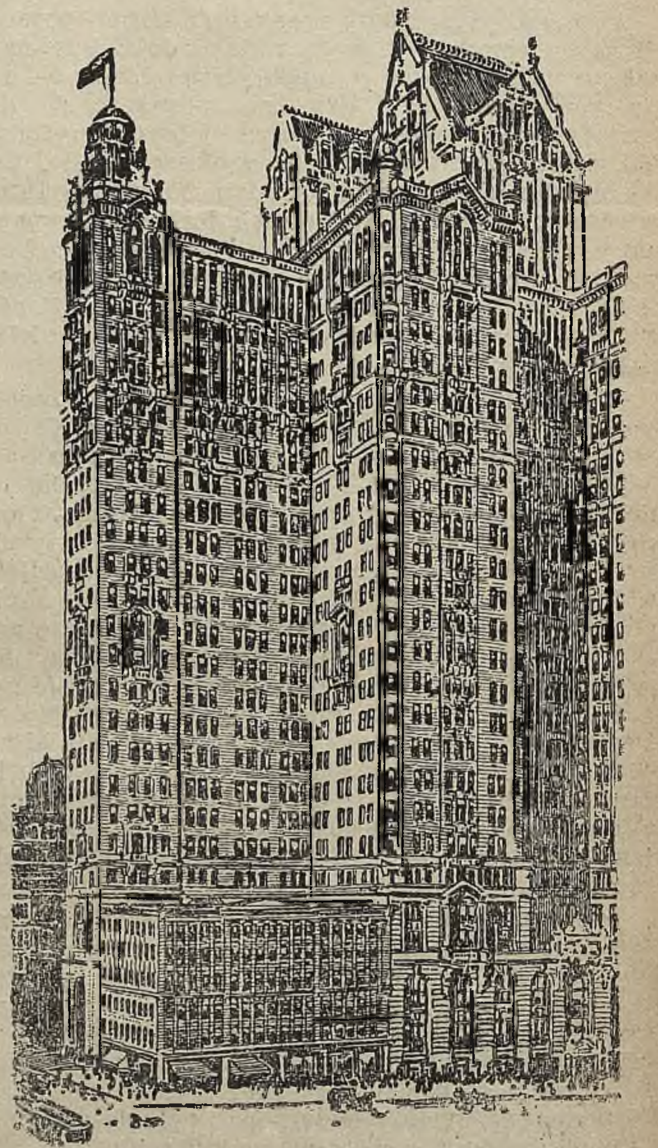
Prócz własnego zadowolenia, mieliby zasługę wobec społeczeństwa, bo z takiego zbiorku talencików, wyrósłby poważny element, kto wie czy i nie twórczy... Byliby to mężczyźni zahartowani, i kobiety zdolne dźwigać ciężar brzemienia życiowego bez szemrania. Z tych ludzi, byliby troskliwi ojcowie i dobre matki, bo ze zrozumieniem, iż im ktoś wyświadczył przysługę, potrafiliby to ocenić i wszczepialiby swym dziatkom miłość i wdzięczność w duszyczki i serduszka... Bardzo rozlegle zapuściłam bieg swych marzeń, bo nie spostrzegłam, jak dziewczynka zdziwiona milczeniem, zwolna bez pożegnania oddalała się...

Odwołałam ją i dałam parę cennych uwag na drogę, bo więcej nic dla niej uczynić nie byłam w stanie, odeszła smutna, lecz z wiarą, że tam ją czeka nauka i szczęście...

Ja zaś, gdy pozostałam sama — myślałam, co się z nią stanie?

Maryla „Widz...“

Drapacze chmur.



Ileż u nas na wsi ludzie marnują ziemi na drogi, podwórza i t. p. rzeczy. Zmarnuje się ćwierć czy pół morgi, to jeszcze tam coś zostanie pod uprawę. Inaczej jest w miastach, szczególniej w wielkich miastach. Tam niemal każda piędź ziemi ma swoje znaczenie. Dlatego też ludzie ziemię tę oszczędzają, a wskutek tego przy budowach domów starają się zająć pod nie jak najmniej miejsca, a za to wznieść budowę jak najdalej w górę. Powstają też wskutek tego domy-olbrzymy, o jakich niejeden z nas nie ma pojęcia. Szczególniej w Ameryce. Na obrazku naszym widzimy właśnie takie drapacze chmur o wysokości 30 pięter. Są to jednak jedne z mniejszych domów, gdyż n. p. w Nowym Yorku znajdują się nawet dwa razy wyższe od tych, które na obrazku widzimy.

ROMAN ZMORSKI.

Baśń o Sobotniej Górze.

(Z opowiadań ludowych śląskich.)

(Dokończenie.

Wtem, kiedy się na poły żywy ledwie wlecze, z boku, z ropadliny skały ujrzy jasność wpadającą i zaleci go woń cudna. Spojrzał ciekawie i oto widzi ogromną jaskinę, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród przecudowny, majową trawą pokryty, pełny róż i lilij wonnych. Na murawie drzewa różne, z rumianemi owocami, chylą się ku srebrnej strudze... Zgłodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła, więc co żywo odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów ze ściany skały jasność go uderzy i przez wązką rozpadlinę widać niezmierną pieczarę. Złota lampa, na złotym łańcuchu, paliła się u sklepienia, a wokoło ścian stoją ćwierci, korce, kadzie całe, napełnione po wierzch srebrem, złotem, klejnotami najdroższemi. Ale wdowi syn nie był chciwy; ani się więc kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.



I znów, ledwie wyszła chwila, posłyszy cudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików, a przez rozwarte naoścież w boku opoki podwoje, świeci się sala złocista. Wśród niej, po miękkich kobiercach, dziesięć dziewic urodziwych, w przeźroczystych jak mgła sukniach, pląsa po cudnej muzyce, przyśpiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, co najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, poczęła się doń wdzięczyć mile. Ale młodzieniec pozostawił we wsi swej dziewczynę, liliję białą, ukochaną serca: więc gdy sobie na nią wspomniał, zasłonił ręką oczy i poomacku szedł dalej, aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinię. Zaledwo ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem i on wyszedł na dzień biały, na sam szczyt Sobotniej Góry.

Stanąwszy spojrzy ciekawie po wierzchołku góry i widzi wszystko, jak mu rzeczone było. Na nagiej, by dłoń, epoce, rośnie jedno tylko drzewo, ze srebrzystemi listkami, którem szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; z pod krzywych korzeni drzewa tryska źródło jasnej wody, a na najwyższej gałęzi sokół się chwieje złocisty.

Złoty sokół, zaledwie zobaczył młodzieńca, radośnie strzepnął brzęczącemi pióry, roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, aż gdzieś znikł między chmurami.



Wdowi syn, cały z sił spadły, ledwie że się podołał zawlec pode drzewo i, upadłszy na opokę, począł pić chciwie z krynicy. Alić ledwie jej usty tylko dotknął, jakby nanowo na świat się narodził, poczuł w całem swem ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich śladu najmniejszego nie zostało. Zerwał się tedy wesoło na nogi, i stanąwszy pode drzewem, przy jasnem, porannem słońcu, co się właśnie podnosić jęło na niebie, spojrzał z wysokości na świat boży. Wokoło góry, pola, lasy, wody, wioski, zamki, grody wielkie, takiem mnóstwem, że nie zliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, a tak cudny, że zda się, patrzeć na niego sto lat całe, nie napatrzyłby się jeszcze dosyć.

Gdy upojony tym widokiem, obwodzi oczyma, posłyszy nad sobą szum skrzydeł i sokół złoty, ze złotym dzbanem w dzióbie, z wysoka spadł mu na ramię. Drzewo o srebrnych liściach zaszumiało głośniej, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

„Weźmij dzban ten chłopcze młody!
Naczerp zdroju żywej wody,
Gałąź ze mnie sobie złom,
I powracaj zdrów do dom.
A gdy będziesz do dom iść,
W żywej wodzie maczaj liść,
Kędy krokiem stawisz nogę,
Święć dokoła sobie drogę".

Posłuszny wezwaniu temu, syn wdowi wziął dzban złoty, naczerpał w niego przeźroczystej wody, ułamał sobie z śpiewającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziane, co krok stąpił, stawając, maczał gałąź w żywej wodzie i kropił nią dookoła siebie.



I oto stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał się człowiek i, radując się i błogosławiąc mu, szedł za nim... Im niżej spuszczał się tak, święcąc, tem bardziej za każdym krokiem rosła ćma ludzi z kamieni odklętych; a gdy, stanąwszy u stóp góry, obejrzał się poza siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy idąc różnemi czasy na Sobotnią Górę, nie doszedłszy wierzchu, w kamień obróceni zostali. Byli zaś tam mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy, i także obaj szczęśliwego chłopka bracia: rycerz z mieczem koło bioder i organista z kropielnicą a kropidłem... Cała ta gromadza poczęła dziękować razem zbawcy swemu, że ich uwolnił z zaklęcia, coby zapewne aż do sądnego dnia trwało, ślubując mu, iż go nigdy już nie odstąpią, ale wszędy za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

Szli zatem wielkim taborem, za wiodącym ich młodzieńcem, aż na dzień trzeci zaszli do wsi, w której mieszkał. Stanąwszy przed chałupą swoją, otwarł drzwi, podszedł ku posłaniu matki i martwe od trzech niedziel zwłoki pokropił gałązką mówiącego drzewa, zmoczoną w żywej wodzie... A oto, nie czekając chwili, staruszka otwarła oczy i powstała rzeźwa, jak gdyby nigdy nie chorzała. Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy i nie było miary uniesieniom i uciesze zgromadzonego mnóstwa...

Tymczasem, na miejscu lichej owej wioszczyny, stanęło rychło ludne i okazałe miasto, a w pośród niego zamek pyszny, w którym syn wdowi, pojąwszy swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie, panując mnogiemu i wdzięcznemu ludowi...

Tak kończy się piękna baśń, którą lud polski wysnuł ze swej duszy, a zbożny poeta spisał na papier.



MACIEK BZDURA GADA:

Pytała się mnie Kaśka wcora, kto wynalaz na świecie kochanie się i łacego jak jedno drugie sobie upodoba, to już nic poza sobą na świecie nie widzą, ino siebie samych. Jak o kuzdą rzec łatwo się zapytać, tak i o wynalezienie miłości, ale trudniej odpowiedzieć. To ino jedno całkiem mi wiadomo i to dokumentnie, ze kochania się ja nie wynalazem. Nie wynalazła go takze Kaśka, ani moja gospodyni, ani gospodarz, ani zaden insy człowiek, który jest na świecie. Było ono przed tysiącami lat, jest teraz i będzie nawet wtedy, gdy nas tu juz nie będzie.

Głupia Kaśka! Blisko sześć tysięcy lat upłynęło od tego casu, jak są ludzie na świecie, a nikt się o to nie pytał i nikt na takie pytania nie odpowiadał. Kochali się ludzie, nie wiedzieć łacego i poco, zenili, umirali z miłości i w miłości, a nikt się nie pytał, skąd jem się to wszystko wzięło.

Coprawda powiedział jeden ucony gazyciarz, ze chłop dwa razy ino w zyciu swoją babę kocha, to jest w dzień swego ślubu i w dzień jej pogrzebu. Mnie się to jednak widzi całkiem nieprawdą, bo jakby tak było, toby nie było ludzi na świecie.

Mojem zdaniem kochać można kobitę z rozmaitych powodów, albo jak jest bardzo ładna, albo jak jest przyścipna, albo jak jest mądra, albo jak jest bardzo bogata, a juz najbardziej się kocha taką, która jest i ładna, i przyścipna, i mądra, i bogata. Jak kto o takiej wie, niech napise, a może i ja się zakocham.

Zreśtą mniejsza z tem, ale to ważniejse, kto wynalaz kochanie?

Niktórzy powiadają, że wynalazły je ptaki, bo te nigdy się ze sobą nie biją, za łby nie włócą, ino, jak gołębie, od świtu do nocy gruchają do siebie. Nie tak, jak u ludzi, co to baba do chłopa nie grucha, ale często w niego grucha, cem ino moze i co jej wpadnie do ręki.

Mnie się widzi, że miłość człowieka do człowieka to wynalazł sam pan Bóg, ale miłość chłopa do baby, to nikt inny ino djabeł. Nie wierzycie? Moze i macie słusność, ale mnie się tak widzi.

Wiadomo przecie, ze Jadom i Jewa zyli w raju zupełnie scęśliwi, jak dwa zwirzątka. Uzazdrościł jem tego scęścia djabeł, który przebrał się we węza i tak do nich powiada:

— Chcecie wiedzieć, co to jest scęście najwiękse, co to jest rozkosz najokrutniejsa, to powiedzcie? A jezeli tylko zechcecie, to dam wam je, ale będzie ono krótko trwało. Przyjdą potem katusze i strapienia, o jakich nie macie ani pojęcia. Chcecie poznać, co zdrada? Chcecie uderzyć głową o mur, którego nigdy nie przeskocycie? Za długie męki i cierpienia otrzymacie rozkosz, o jakiej aniście nie śnili. Czy chcecie?

— Chcemy! — krzyknęła Jewa, a gdy Jadam nic nie odpowiadał, wrzasła na niego:

— No chciejze i ty, kiedy i ja chcę!

Jadam, chcąc nie chcąc, kiwnął głową i odtąd obydwoje pierwsi rodzice pokochali się od razu i było jem z tem bardzo dobrze przez parę godzin. I to było pirse kochanie.

Nie trwało ono jednak długo, bo im Jadam bardziej garnął się do Jewy, tem ona coraz bardziej była z tego niezadowolona. Raz jej było tego zaduzo, drugi raz zamało, a ostatecnie najgorzej na tem wychodził biedne Jadamisko, bo cała złość Jewy na niem się skupiała. Dawniej było mu to wszystko jedno, ale teraz, odkąd się zaceło kochanie, cierpiał bidacysko okrutecnie właśnie z powodu tego kochania.

A i nie to jesce! Bo niechby się tak ku Jewie zblizyła byle jak małupa, to Jadama wciórności brali, zeby mu jej kto nie zbałamucił, boć juz i wówcas było wiadomo, ze kuzda baba do nicego niema tak wielgich zdolności, jak do dania się zbałamucić. I nima takiej kobiety na świecie, któraby się nie dała zbałamucić, tylko trzeba wiedzieć: jak, gdzie i kiedy.

I odtąd kiedy zaceło się pomiędzy ludźmi kochanie, powstały takze: zdrada, zazdrość, zawiść, nienawiść i inne wymysły djabelskie.

A kochanie to sztuka, to dzieło, którego nigdy zakończyć nie można i które będzie trwać po wiek wieków, a z niem razem będą trwały i zdrada, i zazdrość, i zawiść, i nienawiść i inkse złe rzecy ku pociese djabła i jego wszyckich synów. Latego też niech kto co chce gada, ale ja powiadam, ze kochania baby z chłopem, i chłopa z babom nikt inksy nie wynalaz ino carny z rogami.

KLEMENS JUNOSZA

Abraham Pinkt i Mateusz Sikora.

VII.

Abram Pinkt używał szabasu przez całe dwadzieścia cztery godzin. W piątek przed wieczorem szedł do łaźni, potem ubierał się odświętnie w nowy kamlotowy żupan, przepasywał biodra czarnym pasem wełnianym, na głowę wkładał bardzo piękny kołpak lisi i tak wystrojony szedł do bóżnicy. Powróciwszy



— Mateusz Sikora! zawołał sędzia.

do domu, zastawał już świeczki zapalone, stół nakryty i zabierał się do wspaniałej uczty. Pił mocną szabasówkę, jadł chałę, rybę, kawałeczek mięsa, potem ze współlokatorami swymi śpiewał „majufes", potem czytał trochę nabożną książkę, potem kładł się spać i spał snem mocnym... Rano znów szedł do bóżnicy, modlił się, potem jadł, czytał, spał, znów jadł, śpiewał i znów spał, właśnie jak przystoi na męża, który przez sześć dni dość się natrudził, nagadał, nahandlował, a siódmego dnia chce użyć wczasu i wypoczynku.

W szabas Abram nie myślał nawet o skórkach, ani o zwierzynie, ani nawet o Mateuszu, tylko odpoczywał i ciałem i duchem. Przez cały dzień w myślach jego przesuwały się różne wspaniałe obrazy przeszłości biblijnej, dopiero pod wieczór, gdy szarzeć zaczynało i gdy niebawem gwiazdy miały na niebie zabłysnąć, do głowy Abrama powracały skórki zajęcze.

Właśnie w sobotę wieczorem, gdy światło zapalono, przed dom Abrama zajechał saneczkami Mateusz. Abram ujrzawszy go pomyślał:

— To jest kupiec, słowny człowiek, terminowy człowiek!... ja już mam moje dwa zające, zą które mi dobrze zapłacą, podziękują i powiedzą, że takiego słownego handlarza, jak Abram, na świecie trzeba poszukać...

Mateusz wjechał na podwórko, okrył konia starą kapotą, rzucił mu garstkę siana, a sam, wyjąwszy z sani worek, wszedł do izby.

— Jak się macie, Abramie? — rzekł.

— Dziękuję, a wy, Mateuszu, zdrowi jesteście?

— Ot trzymam się, jak groch przy drodze...

Żyd się roześmiał.

— Ny, za to droga nie dobrze się trzyma przy takim grochu, jak wy.

— Albo co?

— Nic, ja sobie tylko tak powiadam, aby coś powiedzieć... ale, Mateuszu, gdzie wasze słowo jest?

— W worku...

— Ho, ho! jakoś bardzo ważne słowo... to chyba nie zające, ale dwa wilki...

— Trzy zające...

— Ja was prosiłem o dwa...

— Cóż zrobić? złapało się trzy...

— Nie strzelaliście?

—Nie. Teraz trudno, gajowi się włóczą jak psi; żeby człowiek strzelił, toby ich cała hurma napadła i wzięliby jak swojego. Więc tedy po cichutku się złapało na wnyki. Na przyszły tydzień, skoro doczekamy, będą miesięczne noce, to u siebie za stodołą parę snopeczków owsa postawię na przynętę, przyjdą jak barany pod strzał.

— Mój Mateuszu, koniecznie trzeba zająców strzelać, bo państwo grymaszą; jak zając nie pokrwawiony, to powiadają, że on swoją śmiercią zdechł... że ja go na polu znalazłem... Akurat, ja nie mam co lepszego do roboty, tylko po polach chodzić i zdechłych zająców szukać! Takie pańskie fanaberje... nie dość, że jedzą zająca, nie dość, że jedzą go za niedrogie pieniądze, jeszcze chcą grymasić...

— Pańska moda.

— To jest głupia moda; czy zastrzelony zając więcej waży, niż uduszony?

— Ale skąd?

— No, ja też powiadam, że nie rozumiem czego oni chcą?

— Ja rozumiem i zawsze sprzedaję strzelane zające...

— Kiedy te są duszone.

Mateusz wydobył z worka zająca, który całą głowę i bok miał powalane krwią.

— To strzelany jest — zawołał Abram.

— Akurat ziarnka śrutu w nim niema, ale moja to rzecz, żeby go ufarbować, bo skoro państwo to lubią i skoro za to płacą...

—Wy jesteście bardzo zmyślny człowiek, Mateuszu; co chcecie za te dwa zające?

— Nie za dwa, ale za trzy...

— Jakim sposobem? przecie ja u was obstalowałem tylko dwa zające.

— A cóż ja z trzecim zrobię?

— Co chcecie; możebym go wziął, ale nie mam na niego kupca teraz; jak poleży i zepsuje się, ja zostanę stratny. Wreszcie słuchajcie, ja mam miłosierdzie nad wami... ja go wezmę, ale nie mogę zapłacić za niego tyle co za tamte. Na żaden sposób...

Zaczął się targ długi, nużący. Chłop opuszczał, żyd postępował. Godzina upłynęła, nim do porozumienia przyszli.

Abram pot z czoła ocierał.

— Wy, Mateuszu — mówił, — jesteście twardy jak kamień, z wami ciężko handlować...

— Idźcie-no do lasu, spróbujcie nabrać zwierzyny, jak na wszystkie strony pilnują, obrachujcie swoją fatygę, pracę, strach i idźcie sprzedać zająca. Ciekawym też, cobyście za niego zażądali?...

— No, ja co innego, ja jestem inny człowiek.

— Macie tak samo nogi, ręce, głowę; któż wam broni próbować...

— Każdy musi żyć podług swego fachu; ja jedno potrafię, wy drugie, a z tego, co my obydwa potrafi-

my, jest cały handel. My zawsze powinniśmy się trzymać za ręce, bo wy potraficie wyprowadzić zająca z lasu, a ja umiem go wprowadzić w świat... Dlatego ja was tak ratowałem w sądzie, bo ja jestem wasz najlepszy przyjaciel...

— Ekonom się odgraża...

— Co on się może odgrażać?

— Powiedział, że się zaczai w lesie z dziesięcioma fornalami, że mnie złapie, zbije na kwaśne jabłko i do kryminału wsadzi...

— Wy się śmiejcie z tego, Mateuszu, on wam nic nie zrobi, choćby miał stu chłopów.

— Dlaczego?

— Bo wy nie będziecie taki głupi, żebyście szli do lasu akurat wtenczas, kiedy Barnaba z chłopami na was czeka. Tak mi się zdaje...

— Ha... i ja tak myślę; niech on czeka na mnie w jednym końcu lasu, a ja gospodarować będę w drugim, i co mi zrobi? Złodziejstwo mi zarzuca, cygan jeden, jak gdybym ja naprawdę złodziejem był. Kupił bestja las, czy co? Kupił zająca czy sarnę?... Nie urosła to drzewina? nie urósł grzyb, czy jagoda z mocy Boskiej, bez ludzkiego zachodu, bez żadnego kłopotu? Albo i marny zając, czy on dworski, albo chłopski... nie, kto go złapie, ten go ma... Paskudny świat, Abramie... żyć nie dadzą, a najbardziej ci psiawiary ekonomy, rządcy, gajowi... Że to święta ziemia takich nosi cierpliwie...

— Wy macie recht, — rzekł po namyśle Abram, — ale na moje pomiarkowanie, żebyście mieli las swój własny, tobyście może inaczej gadali. Podług mojego rozumienia, człowiek ma swoje myślenie nie tylko w głowie, ale i w kieszeni...

— Żebym ja miał las — mruczał chłop, — żebym ja miał las...

—No to cobyście z nim robili?

Mateusz nie chciał na to pytanie wprost odpowiedzieć.

— A juści — odrzekł, — Abram żeby wielkim rabinem żydowskim został, to coby Abram robił? Pewnie nie latałby po wsiach za skórkami, ale siedział sobie cały dzień w krześle, rybę jadł, śledzia jadł, herbatę z arakiem pił...

— Co wy powiadacie, właśnie, że wielki rabin bardzo mało jada... On i bez jedzenia ma w sobie bardzo wielką moc. Aj, rabin, cha! cha! czy ja mógłbym rabinem być, nawet pomyślenia takiego nigdy nie miałem, nawet mi się to w nocy nigdy nie śniło... Rabin, wy nawet nie wiecie, jakie to wielkie słowo...

— No, i co gadać po próżnicy... wy nie będziecie rabinem, ja nie będę dziedzicem, taki już nasz los... tymczasem ja muszę myszkować po borach, a wy handlować skórkami... Trzeba dziękować Bogu za to, co jest...

— Czy tak podług waszej nabożności wypada?

— Ma się rozumieć... a podług waszego rozumienia inaczej?

— Owszem, jeszcze bardziej, zawsze trzeba dziękować Panu Bogu za to, co już nam dał, a prosić, żeby jeszcze więcej dał i jeszcze więcej...

— Nigdy wam nie dość...

— Aj, Mateuszu, pomyślcie-no, co wyście powiedzieli? jakie wyście rzadkie słowo wymówili i jak niepotrzebnie takie słowo wymawiacie...

— Nie rozumiem was.

— Powiedzieliście „dość". Weźcie to na rozwagę, na rozum, i zastanówcie się, co to znaczy?

— Dość znaczy dość, do woli, do syta, tyle co potrzeba...

— I kto takie słowo wymawia?

— Juścić nie psi, tylko ludzie.

— Nie wielki z was majster do myślenia. Żeby was naprzykład... nie chcę w złą godzinę wymówić... złapał w lesie Barnaba i zaczął łomotać po waszym grzbiecie grubym kijem, tobyście krzyczeli „dość"; żeby was, niech się na naszych wrogów obróci... trzęsła febra, tobyście też mogli krzyczeć dość! ale gdyby wam kto dawał pieniądze, zboże, perły; gdyby wam toczył z pełnej kufy okowitę, to nie śpieszylibyście się z wołaniem, moglibyście zapomnieć, że takie słowo w mowie ludzkiej jest... Co to znaczy? Bierzcie tylko do głowy, a zrobi wam się zaraz jasno, że „dość" odnosi się tylko do złego, a nigdy do dobrego; że skoro na dobre człowiek nie mówi „dość", to znaczy, że mu brakuje, że mu jeszcze potrzeba... a skoro potrzeba, prosi, żeby mu dali. To jest całkiem jasne i trzeba bardzo twardej głowy, żeby tego nie zrozumiała... no, a wy przecie zanadto twardej głowy nie macie...

Chłop się roześmiał.

— Po żydowsku wy, Abramie, te wszystkie pomyślenia obracacie...

— Śmiać mi się chce z was, Mateuszu, — rzekł Abram. — Wam dziwno, że ja wszystkie pomyślenia obracam po żydowsku. Powiedzcie, proszę, jak je mam obracać? po waszemu? Ej, nie... Każdy człowiek ma swój sposób: chłop chłopski, pan pański, żyd żydowski... Z tych sposobów dopiero wynika jeden sposób: dobry.

— Nie zawsze...

— Zawsze, wierzcie mi... ja się na tem znam lepiej od was. Jeżeli będziemy łapali zająca, wy złapiecie; jeżeli pójdziemy zastawiać wnyki na ruble, to ja muszę cokolwiek upolować, a wasza próżna fatyga. Nie może być inaczej, cały porządek świata na tem stoi, cała spekulacja... Nie moja to głowa wymyśliła, ani nie wasza, tak już było od dawna, tak jest i tak będzie.

Chłop głową zaczął kręcić.

— A juści, wszystko byście zagarnąć chcieli i zabrać do garści...

— Co wszystko, jakie wszystko? Aj, Mateuszu, weźcie dobrze do głowy. Wy macie chałupę, macie pole, łąkę...

— Aj, łąka; całej obrady sto prętów...

— Ja nie mam nawet dwa pręty; macie konia, krowy, owce i za przeproszeniem jeszcze inne bydło... macie las...

— Jaki?

— Niby nie wiecie: dworski las macie...

— Dworski to nie mój...

— Wszystko jedno... powiadam tylko, że wy coś macie, a ja nie mam nic, tylko kawałek głowy i parę groszy w kieszeni. Komu łatwiej żyć, wam czy mnie?

— Mnie się zdaje, że wam...

— Pfe! nie powiedzcie to słowo... wy macie...

— A wy macie pieniądze...

— Aj, niech nasze wrogi takich pieniędzy nie mają.

— Eh, Abramie, po co mamy bajać po próżnicy; zapłaćcie mi za moje zajączki i bywajcie zdrowi. I tak już noc porządna, nim się człowiek przywlecze do chałupy, kawał zejdzie, a jutro raniuteńko do roboty trzeba wstać...

— Ałboż potrzebujecie młócić? Czy wasz syn tego nie potrafi? Czy wam niewola męczyć wasze stare kości?...

— Ja do młócenia nie pójdę, ale do lasu...

— Dobrze, idźcie wy do lasu. Słuchajcie-no, podobno na Żabiem-jeziorku pokazały się wydry...

— Kto wam to mówił?

— Chłop jeden opowiadał, że ludzie widzieli, nawet on sam widział... a ja zaraz pomyślałem, że te wydry będą nasze...

— Ale...

— Kto je złapie, jeżeli nie wy?...

— Trudna rzecz...

— Dla was?

— Dla każdego...

— Pi, pi, wydra, rzadka rzecz, śliczna skórka, jabym wam dobrze zapłacił...

— Nie sprzedaję ja skórki na baranie; jak będzie, to pogadamy.

— Ja wiem na pewno, że będzie...

— Bywajcie zdrowi, Abramie, już jadę...

— No, co wam tak pilno? napijcie się jeszcze wódki, ja funduję.

— Snać sumienie was ruszyło, żeście dali tak mało za zające...

— Wcale nie, ale chciałbym, żebyście mieli lepszą chęć do wydry...

— Samo prawie żydowski kołnierz...

— Co wam z tego? niech będzie czyj chce, abym wam zapłacił...

Rozstali się dwaj przyjaciele na krótko.

(Dokończenie nastąpi).



Gdzie nasze szczęście?

Nie szukaj szczęścia tutaj na ziemi,
Bo go nie znajdziesz, to wszystko szał,
Co tak przemija, jak liść w jesieni,
Pozostawiając w twojem sercu żal.

Bo ziemskie szczęście prędko przemija,
Choćbyś go używał i tysiąc lat,
Będzie dla Ciebie to jedna chwila,
Musisz porzucić ten cudny świat.

Słuchaj, co powiem, tem doświadczony,
Co przeżywałem te drogie chwile,
Chociaż nie jestem bardzo uczony,
Bo w pracy, trudzie, swe życie silę.

Miałem istotę, którą kochałem,
Z którą dzieliłem wesołość swą
I smutki, trudy z nią przeżywałem;
Dzieliłem razem ze żoną mą.

Dziś opłakuję mą smutną dolę,
Bo Pan Bóg zabrał mi szczęście me,
Już ja go nigdy na tem padole
Nie spotkam w życiu, ach nigdy nie!

Dzieląc się z Wami tą smutną wieścią,
Która tak srodze człowieka boli,
Wiem, że współczując z moją boleścią,
Kondolencję złożycie w »Roli«.

Franciszek Pociecha.

Hanka.

Miało się pod wieczór. Błękitnawy zmierzch oprzędzał zimowy świat corazto większą szarością. Na zachodzie tliły się jeszcze ostatnie, nikłe przebłyski zorzy wieczornej, a i te wkrótce pogasły.

Tu i ówdzie na niebnem sklepieniu zabłysła gwiazda, skrząc i migocąc się mocno, że to mróz brał siarczysty. Na drzewach i wszelkiej krzewinie osiadła biała osędzielina, że wyglądały jako te starce, którym wiek wszelką krasę odbierze, a sterane od trosk głowy, siwizną przypruszy.

U Mateuszów właśnie wstano od stołu, podjadłszy tłusto i smacznie jak na zamożnych gospodarzy przystało. Mateuszowa poszła w sąsiedztwo do kumy na pogadankę, bo to wieczory bywały długie i ckniło się nieraz, zaś Mateusz usiadł przed kominem, a pykając z fajki, dumał o czemś, patrząc w wesoło trzaskający ogień.

Dwóch małych chłopaków brykało po izbie, wodząc się za lniane czupryny i dokuczając w najrozmaitsze bolesne sposoby staremu, wyleniałemu psu, Burcie. Mateusz, jakby niczego nie słyszał, patrzał w ogień, uśmiechał się do swoich myśli i od czasu do czasu splunął przez zęby w ognisko.

— Cichobyśta byli! — upominała dzieci Hanka, szczupła, mizerna dziewczynina, zmywająca statki po wieczerzy.

Uprzątnąwszy izbę, podeszła do zadumanego gospodarza i nieśmiało pacnęła go w rękę.

— Chciałaś to co?

— Pozwólcie mi gospodarzu zaźreć do ojca, cosik som chorzy...

— A idź se, idź! Ino nie przebywaj długo...

— Duchem przylecę! A to ino na jeden maluśki paciorek pójdę...

W tej chwili w izbie wrzask się podniósł niemały. Burta, do cna wyczerpawszy swą cierpliwość, schwycił jednego z chłopaków zębami za palec. Krzyk ten rozeźlił wreszcie Mateusza, któren porwawszy się z przed komina, jął zdejmować pasa. Chłopcy w jeden mig skoczyli w sień, a izbę ogarnęła nagła cisza. Sponiewierany Burta skulił się pod ławą, liżąc swe stare obolałe boki.

Hanka przemknęła się chyłkiem ku stajni, wzięła z kąta przygotowany, mały węzełek i poszła.

Noc była cudna, świetlista od księżyca, który srebrzył rozpostarte wokół białe przestrzenie pól. Na niebie skrzyły się niezliczone ilości srebrzystych gwiazd, a mróz był taki, że para marzła przy ustach.

Okienka chat gorzały czerwonem światłem od płonących na kominach ognisk. Po oświetlonych izbach przemykali się ludzie albo też siedzieli przy wieczerzy.

Hanka biegła, mijając opłotki, ku małej chatynie, samotnie na końcu wsi stojącej. Dosięgnąwszy chaty, weszła do izby, w której był ziąb, a jedynem światłem, promień księżyca wślizgujący się przez zamarzłe szybki i rozświetlający co nieco wnętrze ubogiej izdebki.

— A to nie świecicie... — spytała, pochylając się nad leżącym w kącie izby staruszkiem.

— Niema czem, Hanuś... cosim chory, to i nie trza mi. I tak widno... od księżyca... — odszepnął.

— Jedliście to co dziś?

— Nie, Hanuś, niema chleba...

Drżącemi dłońmi wetknęła w osłabłe ręce staruszka połowę przyniesionego chleba, na który opadła jedna i druga gorąca łza.

— Pod poduszką macie jeszcze chleb tatulu. Ostanie wam na jptro. Brr! Ależ tu ziąb!

— A zimno, Hanuś, zimno...

— A co was to boli tatulu?

— Cosi tak we środku trzęsie i... chodzi po kościach...

— Pewnie z zimna. Trzaby zapalić wam. Macie susz?

— Niema, Hanuś, niema — odjąkiwał starzec zcicha.

— Żeby było bliżej, to zaprowadziłabym was do gospodarzowy stajni, aleć pewnikiem nie zajdziecie.

— Oj nie, Hanuś, nie. A w stajni ciepło... o, ciepło, krówki te Boże grzeją...

— Gospodyni poszła z chaty to i przybiegłam do was. Tatulu, a chleb co wam noszę, to mój... gospodarzowego nie biorę...

Staruszek jął postękiwać, Hanka zamilkła. Wpatrzyła w smugę księżycowej poświaty, drżącej na glinianej podłodze. Wspominała, że wracać pora.

— A to już pójdę tatulu. Przylecę do was znów niedługo. Ostajcie zdrowi!

W progu już będąc, wróciła się, zdjęła z siebie ciepłą chustkę i otuliła nią staruszka.

Mateuszowa już wróciła, a gniewny jej głos leciał aże na drogę. Hanka pokornie wsunęła się do izby. Gospodyni ujrzawszy ją, otwarła gębę, przymawiając od darmozjadów.

— Do parobasów smarkata wylatujesz!

— U oćca byłam gospodyni...

— U oćca, hale, u oćca! Zmylisz mie to, niby!

Hanka w cichości kucnęła przy swym barłogu, na którym spał już Burta, zwinięty w kłębek i połykając łzy mówiła pacierz. Senna już była bardzo. Ręce i nogi bolały ją od roboty, bo to i młoda jeszcze była, piętnaście lat skończyła w zeszłą jesień, a Mateuszowa nie przepuszczała w robocie.

Nazajutrz wypadło święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Hanka, otrzymawszy po południu od swej gospodyni pozwolenie pójścia na nieszpory, umyśliła miast do kościoła, iść do lasu po susz dla ojca.

Wybrała się też w drogę, opasując przestronnym kożuchem, jedyną spuścizną po matce. Las czernił się zdaleka, na wzgórzu. Zimno było. Śnieg padał gęsto, a od północy zawiewał przenikliwie mroźny wiatr.

W lesie było cicho, wiatr prawie uczuwać się nie dawał, a jeno w górze po wierzchołkach olbrzymich sosen przewalał się z szumem.

Hanka spiesznie zbierała suche, przez wichry postrącane gałązki. Raz wraz przychodziło jej do głowy, że to dziś święto, że grzech popełnia wielki, ale gdy wspomniała ojca leżącego w lodowo zimnej izbie, precz pierzchały kąśliwe myśli.

Prawie skończyły się nieszpory, gdy wracała z sporą wiązką gałązek na plecach. Na drodze, przy samotnym krzyżu Męki Pańskiej zrzuciła ciężar z wątłych ramion, by spocząć na chwilę. Właśnie wracała z kościoła pierwsza we wsi gospodyni i bogaczka, Zawiesina.

— Patrzcież moje ludzie kochane! — wykrzyknęła, zatrzymując się przed Hanką. — Komużto w święto nosisz gałęzie?

— Dla tatula... bo zimno ma w izdebce... — odparła Hanka cicho.

— Bezbożnica! Czartowskie nasienie! Takto święcisz dzień Boży? — Wsparła ręce na potężnych bokach i małymi, złymi oczkami świdrowała pokornie schyloną Hankę.

— A nie wstydno ci to! — rzekła druga.

— Najświętszą prawdę mówili jegomość na kazaniu, a to wspominali jako naród grzeszy coraz bardziej, nie szanuje dni świętych, a nie prawdę to rzekli? — karciła trzecia.

— Et, moiściewy, a do kogóżto gęby otwieracie? Do pomietła! — zaczęła znów Zawiesina. — To se ino zapamiętaj, że na inszy raz nie przepuszczemy ci jak dziś!

Poszły dalej, a Hankę długo jeszcze dolatywały głosy pobożnych gospodyń.

Zbierając się do dalszej drogi, spojrzała na Ukrzyżowanego Jezusa, westchnęła głęboko, jakby prosząc o odpuszczenie grzechu dziś popełnionego i przytrzymując posiniałemi od zimna rękami przestronny kożuch, którym wiatr tarmosił, poszła szybko dalej, bo zmierzch już zapadał.

— Hej, matulu moja matulu, żebyście to wy żyli! — Zaszeptała, a gorące łzy poczęły cicho spływać po twarzy.

Znalazłszy się w ojcowej chacie, odetchnęła z ulgą. Chuchając w zmarzłe ręce podeszła ku łóżku, na którem leżał starzec cicho, nieporuszenie, z twarzą zwróconą ku niebu.

— Tatulu, spicieto — ruszyła go lekko. — Zimno wam tu, oj zimno, ale zaraz ogień rozniecę, ogrzejecie się trocha. Gałązki suchuśkie przyniesłam.

Staruszek nie odzywał się nic. Leżał jak przedtem, cicho, nieporuszenie. Zastanowiło to Hankę. Schyliła się nisko ku twarzy leżącego i nagle odskoczyła z krzykiem.

Oczy staruszka otwarte były szeroko, szkliste, nieruchome, a na rękach błyszczały dwie zamarzłe łzy.

— Pomarli... — zaszeptała i naraz zaniosła się głośnym płaczem.

— A tom już sierota... a tom już sierota... samiuśka, jako ten badyl, na świecie... mówiła drgającemi usty, łykając gorzkie łzy.

U progu w wieczornym zmierzchu, czerniała wiązka uzbieranego we święto opału.

Orlica.

Myśli.

Na nic praca, zasługi, talent czy zdolności,
Dziś potrzeba protekcji, wpływów i... podłości;
Kto krętemi drogami, nie przywykły chodzić,
Lepiejby się takiemu było nie urodzić.

☆

Kto nie umie szanować godności człowieka,
Taki się poszanowania pewnie nie doczeka.

☆

Predykanci ubóstwa, co złoto kochają,
Zdaje mi się, że czystą komedję grają.

☆

Łatwiej ci wówczas przyjdzie osądzić człowieka,
Gdy zmiarkujesz, do jakich towarzystw ucieka.

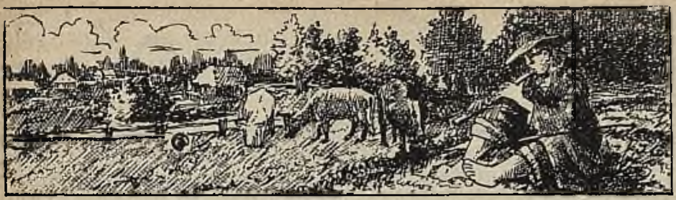
☆

Z kim rozkosznie przebywać, kto wie, niech odpowie.
Kto ma szlachetnie w sercu, a rozumnie w głowie.

☆

Wielu próżnych a dumnych pracuje z mozołem
Robiąc z siebie bałwanów, by im bito czołem.

Piotr Wenc.



Poradnik gospodarczy.

Chcąc prowadzić gospodarstwo choćby najmniejsze dobrze, muszę zapisywać każdy choćby najdrobniejszy wydatek, jak również każdy uzyskany grosz z gospodarstwa. Po rocznym zestawianiu przekonam się czy miałem dochód czy stratę.

Cyfry jednak należy zapisywać umiejętnie, aby nam dały dokładny obraz, czy to wydatków czy przychodu i abyśmy mogli w każdej chwili stwierdzić, czy jest stan naszej gospodarki dodatni czy ujemny.

Dobre prowadzenie całorocznych rachunków daje nam dokładną odpowiedź, czy nasze gospodarstwo rozwija się i przynosi zyski, czy też praca nasza idzie na darmo. Rachunek wykaże nam, gdzie szukać przyczyny zła i co robić należy, aby ją usunąć.

Pamięć ludzka jest zawodnia, zaś cyfra zapisana umiejętnie, według pewnego porządku, nigdy nas nie zawiedzie.

Gdybyśmy prowadzili zapiski gospodarskie, uniknęlibyśmy wiele kosztownych procesów, na które się narażamy, ufając swojej pamięci.

Nie mam tu na myśli wprowadzania całego szeregu ksiąg, ale zaznaczam, im w te zapiski włożymy więcej pracy, tem wynik będzie lepszy. Początek pewnie będzie nawet bardzo trudny, powoli nabierze się wprawy i cała rzecz przedstawi nam się bardzo łatwą. Ale trzeba zacząć, sposobność jest bardzo dobrą z nowym rokiem kalendarzowym, postanawiam, iż wszystkie wydatki i dochody będę codziennie zapisywał, a gdybym nawet z początku nie mógł dać sobie rady, nie ustanę, a pewnie sam dojdę powoli w czem błądzę i co mnie zraża, muszę okazać silną wolę, a wszystko przezwyciężę. Więc ten rok poprowadzę swoje rachunki na próbę. W tym celu muszę stwierdzić, jakim majątkiem rozporządzam. Ile wart jest mój warsztat pracy, na którym pracuję.

Tak więc sporządzam inwentarz, który wykaże mi dokładnie wszystkie części składowe mego gospodarstwa rolnego według stanu z 1 stycznia 1928, np. grunta, których wartość oceniam według cen miejscowych, dzieląc je na grunta lepsze i gorsze, czyli na klasy. Budynki, jak dom mieszkalny, stodoła, stajnie i inne przybudówki, wartość oceniam znów nie dowolnie, ale naprzykład zapomocą policy asekuracyjnej. Inwentarz żywy: konie, krowy, świnie, drób i t. d., wstawiając około każdego rodzaju odpowiednią cenę. Inwentarz martwy: pługi, brony, siewnik, kierat, wialnie, sieczkarnia, wozy, chomąta, kosy, sierpy, siekiery, piły, łopaty, motyki, cepy, widły, sita, naczynia kuchenne i sprzęty kuchenne i t. d., z odpowiednimi cenami. Urządzenie mieszkania. Zboże w ziarnie, w snopie, inne zapasy. Gotówka.

W ten sposób będę miał dokładny spis wszystkiego co posiadam, z podaną wartością w dniu 1-go stycznia 1928 r.

Wszystkie powyższe składniki majątku nazywamy stanem czynnym.

Długi i wszelkie obciążenia należą do stanu biernego. Jeżeli teraz odejmię stan bierny od czynnego, otrzymam majątek czysty, który posiadam.

Ponieważ w księdze inwentarza będziemy rok rocznie prowadzić zaszłe zmiany, przeto najlepiej przeznaczyć na zapiski osobną książkę.

Sporządzamy sobie drugą książkę z dwoma rubrykami; w pierwszej rubryce oznaczamy dochód — w drugiej rozchód. Do tych notatek wpisujemy kwotę, którą otrzymujemy lub wydajemy.

Na końcu miesiąca dodajemy kolumny dochodowe i rozchodowe i odejmujemy sumę mniejszą od większej i wiemy, czy mamy dochód czy rozchód większy. Jeżeli dochód był większy, to cyfra wskazuje nam gotówkę, którą posiadamy. Sumę tę wpisujemy na drugi miesiąc w odpowiednią rubrykę i tak postępujemy przez 12 miesięcy. Na końcu roku zamykamy rachunki i robimy końcowe obrachunki, z których dokładnie otrzymany dochód lub rozchód całoroczny, i w ten sposób mamy dokładny obraz naszej gospodarki rocznej.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Omdlenie. Omdlenie spowodować może: przestrach, boleść, wyczerpanie, utrata wielkiej ilości krwi, głód, pragnienie, silne sznurowanie, trucizny, upał, słabość serca, dolegliwość mózgu. Przed przybyciem lekarza, należy zastosować następujące środki ratunku. Omdlałego kładzie się równo, rozpina i rozwiązuje się wszystkie części ubrania, które ściskają ciało, aby powstrzymane krążenie krwi, odzyskało swobodę. Następnie starać się trzeba o świeże powietrze i ułożenie chorego w spokoju. Jeżeli twarz chorego jest blada, wtedy głowę kładzie się niżej, jeśli zaś rumiana, to wyżej. Na głowę należy kłaść zimne okłady a na nogi gorące. Jeśli spostrzeżemy, że chory nie oddycha, to należy zastosować sztuczne oddychanie.

Żarnica (wyrzuty plamiste). Do częstych chorób dziecinnych, należy żarnica. Szczególniej w miastach mało jest dzieci, któreby między rokiem 2 a 9-tym, tej choroby nie przeszły. Żarnica jest podobną do szkarlatyny — jest również chorobą zakaźną. Objawy: gorączka, łzawienie oczu, suchy kaszel, oraz występują czerwone plamki, wielkości soczewicy, z początku na twarzy, a później na całem ciele. W tym czasie trzeba zachować wielką ostrożność, a szczególniej wystrzegać się zaziębienia. Leczenie: dzieci małe zanurza się prędko w zimnej wodzie codziennie dwa lub trzy razy, następnie kładzie się je do ciepłego łóżka. Dzieciom większym robi się codziennie półkąpiołek z omywaniem piersi. Oprócz tego dobrze jest ubrać dziecku koszulę zamaczaną w gorącym odwarze ze siana w której niech leży jedną godzinę a następnie po zdjęciu koszuli, robi się omywanie całkowite.

Ruptura (przepuklina). Skłonność do ruptury jest zwykle wrodzoną. Jednakże niejednokrotnie można nabawić się jej przez różnorodne przypadki. Niebezpieczne jest podnoszenie wielkich ciężarów, zwykle w takim wypadku należy najpierw wydychać powietrze z płuc, a dopiero wtedy powoli podnosić ciężar. Ruptura powstaje nieraz, gdy stojąc silnie się kaszle. Jeżeli ktoś nabawił się ruptury, należy natychmiast uszkodzenie dać naprawić specjaliście i postarać się o dobrze przylegający bandaż, lub pasek przepuklinowy, który nosi się na koszuli. Dobrze również jest od czasu do czasu przykładać w miejscu uszkodzenia płótno, zamaczane w odwarze z kory dębowej, nadto rozmaite zabiegi z zimnej wody, są przyczyną złagodzenia cierpienia.

KRONIKA.

Nowe monety polskie. Mennica państwowa ma wkrótce przystąpić do bicia nowych monet przewidzianych dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej. Prace w tym kierunku są w pełnym toku. Prawdopodobnie od Nowego Roku rozpocznie się bicie złotówek srebrnych, których wzory zostały opracowane przez prof. Wittiga. Roboty obliczone są na rok z górą, miesięcznie będzie bitych po 2 miljony sztuk. Z chwilą uruchomienia w całej zamierzonej skali bicia 5 złotówek mennica przystąpi do wybijania jednozłotówek niklowych, co nastąpi prawdopodobnie z wiosną roku przyszłego. Liczba jednozłotówek niklowych nie przekroczy prawdopodobnie ilości jednozłotówek srebrnych, których wybito dotąd około 40 miljonów sztuk. Dalsze plany mennicy obejmują bicie 25, 50 i 100 złotowych monet złotych, oraz przebicie wszystkich będących obecnie w obiegu dwuzłotówek srebrnych, których wypuszczono 26 miljonów. Nowe dwuzłotówki będą posiadały 500 próbę, podczas gdy dawne są 750 próby. Roboty mennicy nad biciem nowych monet obliczone są na 4 do 5 lat.

Marszałek Franchet d'Esperey w Warszawie. W ubiegły czwartek przybył do Warszawy jeden ze zwycięskich wodzów aljanckich w wielkiej wojnie, marszałek Franchet d'Esperey, który zadał pierwszy cios armjom państw centralnych na Bałkanach, decydując tem samem losy całej wojny. Marszałek Franchet d'Esperey przybył, aby udekorować pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego orderem „Medaille Militaire". Odznaczenie to otrzymali dotychczas dwaj marszałkowie Francji: Foch i Petain, oraz bohaterski król Albert belgijski. Czwartym kawalerem tego orderu został mianowany w ubiegły piątek Marszałek Piłsudski.

Likwidacja szajki bandyckiej. Po żmudnych dochodzeniach, prowadzonych pod kierunkiem delegata lwowskiego urzędu śledczego, przeprowadziła policja w dobromilskim powiecie likwidację niebezpiecznej szajki bandyckiej, która teroryzowała przez szereg miesięcy tamtejszą ludność. Bandyci w liczbie 9-ciu, uzbrojeni w karabiny i rewolwery, napadali na drogach i dokonywali włamań, używając przytem często broni. Między innymi padł ofiarą szajki we wrześniu b. r. emerytowany żandarm Konstanty Czapczyński z Dobromila, zastrzelony z karabinu. Aresztowani bandyci są młodymi ludźmi, w wieku od 18 do 26 lat. Pochodzą ze wsi Przedzielnica i Grabownica. Na czele szajki stał 28-letni Piotr Szeremeta i 21-letni Iwan Krawczyk. W czasie rewizji w domach bandytów znaleziono stosy skradzionych rzeczy oraz magazyny z amunicją. Aresztowanych odstawiono do więzienia w Przemyślu.

Niezwykłe koleje bandyty. Ze Lwowa donoszą: Przed trybunałem przysięgłych we Lwowie odbyła się we środę rozprawa przeciwko Ilkowi Kmycie ze wsi Borowe, koło Żółkwi, oskarżonemu o usiłowane morderstwo. Kmyta, 23-letni parobek, przeszedł w ciągu kilku miesięcy niezwykłą karjerę życia. Zasądzony w lutym bieżącego roku na 10 lat więzienia za rabunek, uciekł z więzienia w Drohobyczu, spuszczając się z dachu po rynnie, z której skoczył na drzewo. Na drzewie przesiedział Kmyta do świtu następnego dnia, poczem nocami przedzierał się przez Truskawiec i Stryj do wsi rodzinnej. Tu ukrywał się w lasach, żywiąc się jagodami i upolowaną z karabinu zwierzyną. W dniu 8-go września skusiło go udać się na nocleg do chaty narzeczonej. O godz. 11 w nocy otoczyła dom policja, żądając poddania się Kmyty. Ten w odpowiedzi począł razić policję z karabinu. Rozpoczęło się oblężenie i obustronna strzelanina, która trwała do godz. 4 rano. Po dwugodzinnych pertraktacjach bandyta poddał się. Na zasadzie werdyktu sędziów przysięgłych skazany został Kmyta za zbrodnię gwałtu publicznego na 1 rok więzienia.

Rozruchy pod Nadwórną. W Maniowej koło Nadwórny na niewiadomem narazie tle wybuchł onegdaj zatarg między ludnością ukraińską a miejscowym posterunkiem policji. Kilku agitatorów zdołało podburzyć ludność Maniowy do tego stopnia, że wielki tłum uderzył na budynek posterunku policyjnego i podpalił go. W budynku znajdowali się w tym czasie komendant Machnowski i jeden posterunkowy. Udało się im w ostatniej już niemal chwili wymknąć z płonącego budynku i uciec do oddalonej o 7 klm. Sołotwiny. Stamtąd zaalarmowali oni komendę policji wojewódzkiej i szefa wydziału bezpieczeństwa w Stanisławowie. Komenda policji wojewódzkiej zmobilizowała natychmiast samochody i wysłała nimi do Maniowy oddział 50 policjantów z kilkoma oficerami policyjnymi. Gdy ekspedycja przybyła do Maniowy, płonęły również zabudowania parafjalne, na które przerzucił się ogień z budynku policyjnego. Policja przywróciła porządek i aresztowała głównych agitatorów i podpalaczy.

Niedźwiedź na uczcie we dworze. Na folwarku właściciela majątku Pakulskiego w Sztumie wydarzył się onegdaj komiczny wypadek. W chwili, gdy służba po zabiciu wieprza była już na ukończeniu sporządzania zeń różnych przerobów jak salcesonów, kiszek, kiełbas i t. p. wszedł na folwark pewien zarobkujący wędrowiec z tańczącym niedźwiedziem. Miś, poczuwszy zapach mięsa, zerwał się z miejsca i pociągając za sobą swego pana, pognał wprost do stołu, na którym te świńskie specjały się znajdowały, sam zerwawszy sobie uprzednio z pyska kaganiec, wsadził łeb do wiadra, w którym była przygotowana „szyneczka do marynaty. Sprawiszy się szybko z szynką jął zmiatać ze stołu po kolei wszystko co na nim się znajdowało. Służba przestraszona tem, poukrywała się za budynkami i dopiero po pewnej chwili ochłonąwszy z przestrachu, kijami kamieniami i gwizdami chciała odegnać nieproszonego gościa. Niedźwiedź jednak wcale nie zważał na te objawy niegościnności ludzkiej, jak również i na dźwięki fletu, któremi pan jego usiłował puścić go w taniec. Po spałaszowaniu połowy wieprza, z powrotem włożył kaganiec i zatańczywszy parę pląsów, wraz ze swym poskromicielem w jak najlepszym humorze opuścił podwórze.



Pan młody zabójcą muzykanta. Z Sosnowca donoszą: Przed kilku dniami odbywało się wesele we wsi Szklary, pow. olkuskiego, niejakiego Piotra Kalety z Czubrowic. Po ślubie młodzi zajechali do teściów w Szklarach, gdzie pod domem oczekiwali na nich goście z muzyką. Gdy nowożeńcy zbliżyli się, kapela zagrała marsza, goście wznieśli okrzyk, a oblubieniec z u-

ciechy wyjął rewolwer i strzelił na wiwat. Bezpośrednio po strzale padł na ziemię muzykant, 40 letni Piotr Krupa z Woli Kalinowskiej i skonał. Kula przeszyła mu oba płuca i serce. Kaletę aresztowano.

Pożarcie trupa dziecka przez psy. Z Łodzi donoszą: We wsi Osieczno, przechodzący wieśniacy byli świadkami strasznej sceny. Mianowicie na drodze wiejskiej toczyły z sobą walkę psy, wydzierając sobie nawzajem kawałek okrwawionego mięsa. Jak się okazało, były to resztki trupa noworodka. Pierwiastkowe śledztwo stwierdziło, że matką nieszczęśliwej ofiary jest niejaka Wiktorja Krowiecka, która zamordowała swe nieślubne dziecko, a następnie zakopała je w ziemi. Psy wiejskie wpadły na trop zakopanego trupa, wygrzebały go i pożarły. Wyrodna matka została aresztowana.

Połów węgorzy. Z nad morza Bałtyckiego donoszą: Miesiące październik i listopad są okresem połowu węgorzy. W bieżącym roku, gdy znaczna część łowionych na polskiem morzu ryb wykazała zatrważający spadek, najniespodziewaniej, jak w żadnym z ubiegłych lat, ukazały się węgorze, miejscami nawet tak licznie, że rybacy już od dawna nie mieli tak dobrych połowów. Szczególnie dużo węgorzy pojawiło się na Wielkiem morzu; mniej łowiono w Jastarni i na Małem morzu (zatoka Pucka i Gdyńska), chociaż i ta wioska miała kilka pomyślnych dni. Złowione żywe węgorze, przechowywane są w „sadzach"; zakupują je głównie kupcy z Gdańska na wywóz zagranicę, płacąc za 1 kg. około 5 zł. Jednocześnie z ukazaniem się węgorzy, zbliżyły się — dzięki pomyślnym wiatrom — duże ławice śledzi ku wybrzeżom polskim. Wypływająca z ryb ikra i mlecz, świadczyły, że śledzie przybyły na tarło. Śledzie trzymały się długi czas w zatoce, gdzie dochodziły aż do Oksywskiej Kępy. Rybacy helscy łowili je sieciami zastawnemi, w odległości paruset metrów od brzegu. Niektóre łodzie wracały wprost przepełnione rybą. Według orzeczeń rybaków, obfitość śledzi spowodować mogły odpowiednie prądy i temperatura. Dzienna zdobycz wynosiła na Helu niekiedy 15 do 20 tysięcy kilogramów. Wędzarnie półwyspu przerabiały dziennie od 2.500 do 4.000 kg. śledzi. Ceny były rozmaite. Płacono od 1 zł. za kilogram, ostatnio zaledwie 15 do 30 groszy za kilogram.

Bestjalstwo Litwinów. W Wołyniszkach powiatu olickiego w dniu 14 b. m. oddział szaulisów litewskich, kwaterujący w tej wsi podpalił młyn, należący do właściciela folwarku Polaka. Gdy dzierżawca młyna zwrócił się ze skargą do komendanta oddziału Łajpinisa, ten uderzył go tak silnie, iż młynarz zemdlał. Wówczas szaulisi wrzucili go do płonącego młyna. Dzięki interwencji miejscowej ludności, która rzuciła się na pomoc, zdołano wyciągnąć młynarza z płomieni w stanie bardzo ciężkim, zagrażającym życiu.

Tajemnicza tragedja. W dobrach barona Klingera pod Wiedniem wydarzyła się onegdaj podczas polowania zagadkowa tragedja, której ofiarą padł wiedeński adwokat Dr Tomasz Haerdtl. Haerdtl zaproszony został przez Klingera na polowanie. Wybrali się do lasu w towarzystwie leśniczego. Ten ostatni zajął oddalone stanowisko, baron Klinger i adwokat Haerdtl stali blisko siebie. W pewnej chwili padł strzał i dał się słyszeć okrzyk Dr Haerdtla: „Ratunku!" Leśniczy przybiegł na miejsce, gdzie stał Dr Haerdtl i ujrzał go leżącego na ziemi. Był ranny w nogę. Przewieziono go do szpitala. Podczas transportu nastąpił straszny ubytek krwi. Arterja była przestrzelona. Operacja nastąpiła po sześciu godzinach. Amputowano nieszczęśliwemu nogę. Skutkiem ubytku krwi Dr Haerdtl zakończył życie w parę godzin po amputacji. Sprawa ta przedstawia się bardzo zagadkowo. Stwierdzono, ze strzał nie pochodził ze strzelby Dra Haerdtla. Wtajemniczeni przypominają analogiczny dramat, jaki w tym samym rewirze rozegrał się rok temu. Bohaterami byli wówczas baron Klinger i Rosjanin Orloff, który kochał się w baronowej Klinger. Orloff zginął na polowaniu od zabłąkanej kuli. Proces nie wyświetlił zagadkowego tego wypadku. Czy tragedja adwokata Haerdtla zakończy się epilogiem w sądzie — na razie nie wiadomo. Dr Haerdtl był żonaty z córką generała austrjackiego Mohr-Merka i zostawił dwoje dzieci w wieku 6 i 3 lata. W sferach prawniczych w Wiedniu cieszył się opinją znakomitego adwokata. Był zamożnym. Posiadał obszar dworski w sąsiedztwie posiadłości barona Klingera. Obie rodziny żyły w przyjaźni.

Niezwykły pasażer. W tych dniach na dworcu kolejowym w Wiedniu wzbudziło niezwykłą sensację przybycie paryskiego kurjera. Wywołały ją przedewszystkiem przerażone twarze i głośne krzyki tragarzy kolejowych, którzy, jak zwykle, pierwsi dopadli pociągu. Natrafili oni bowiem w jednym z wagonów na dziwnego zaiste pasażera: był to lew, wieziony przez znanego pogromcę Alvera, który miał z nim występować w Wiedniu. Alver zdrzemnął się już pod samym Wiedniem, z czego skorzystało wiezione w jednym z nim przedziale zwierzę, otworzywszy sobie klatkę, wyszło na kurytarz wagonu. W pewnym momencie jedna z podróżnych, opuściwszy swój przedział, zauważyła strasznego pasażera i wszczęła przeraźliwy alarm. Nadbiegła służba potraciła głowy, dopiero zbudzony hałasem pogromca zdołał jako tako uspokoić przerażonych podróżnych. Już na dworcu wiedeńskim udało się dopiero Alvenowi zmusić swego pupila do powrotu do klatki, wraz z którą został on odstawiony do miasta.

Dramat w szpitalu. W szpitalu w Saint Roch w Nicei rozegrał się onegdaj wstrząsający dramat, okryty dotąd mrokiem tajemnicy. Od dłuższego czasu leżał tam młody, 27-letni optyk, Emanuel Notarias, chory na gruźlicę. Odwiedzała go codziennie jego narzeczona, panna Helena Bini. Notarias był młodzieńcem bardzo pracowitym i poważnym. Pracując w jednym ze sklepów optycznych w Nicei, poznał pannę Helenę Bini, córkę właściciela handlu korzennego. Po dłuższej znajomości Notarias zaręczył się z Heleną i miał ją poślubić za zgodą rodziców, gdy ciężka choroba przykuła go do łoża. Panna Bini odwiedzała bardzo często swego narzeczonego, a nawet, wyjechawszy do Paryża, korespondowała z nim bardzo żywo. Właśnie po przybyciu do Nicei, odwiedziła onegdaj swego narzeczonego. W czasie rozmowy, której zresztą w całości nie słyszano, usłyszeli świadkowie słowa Notariasa: „A więc nie chcesz o niczem wiedzieć?", poczem rozległy się dwa strzały rewolwerowe. Panna Bini trafiona w serce, padła trupem na miejscu. O powodach katastrofy nic nie wiadomo. Przypuszczają, że Notarias zauważył zmianę w usposobieniu panny Bini po przyjeździe z Paryża w stosunku do proponowanego przezeń małżeństwa i to go popchnęło do tragicznego czynu.

Zabójstwo z miłości rodzicielskiej. Wśród głośnych oznak zadowolenia odczytano wyrok sądu przysięgłych w Chester (Anglja), uniewinniający Johna Davisona z zarzutu morderstwa, dokonanego na własnej córeczce. Oskarżony nie myślał przez chwilę nawet zaprzeczać faktu, tłumaczył jednak swój czyn tem, iż nie był w stanie patrzeć na nieludzkie wprost męki swojego trzyletniego dziecka, chorego na ropne zakażenie krwi. Ponieważ wszyscy, sprowadzeni przez niego lekarze oświadczyli, iż o ratunku mowy być nie może, że dziewczynka umierać będzie w straszliwych cierpieniach, przeto wolał on własnoręcznie ją utopić, by uchronić

od takiej agonji. Wobec tego, że świadkowie wystawili Davisonowi jak najchlubniejsze świadectwo, jako człowiekowi i jako ojcu, a lekarze potwierdzili charakter i nieunikniony wynik choroby, prokurator sam zwrócił się do trybunału z prośbą o uwzględnienie tak wyjątkowych okoliczności zbrodni.

Miljon zabitych Angjików w wojnie światowej. Ostatnio sprawdzone obliczenia ogólnej ilości angielskich strat w zabitych w czasie ostatniej wojny światowej dały sumę 1,070.000 ludzi. Według dotychczasowych obliczeń, cyfra ta wyniosła 900.000 zabitych i dopiero ostatnie uzupełniające obliczenia wykazały, iż straty angielskie przenoszą miljon ludzi.

Małżeństwa u Arabów. Małżeństwo u Arabów nie posiada tych cech uroczystych i poważnych, jak u nas. Tam młodzieniec, ukończywszy 18 rok życia, już jako mężczyzna spieszy na kobierzec małżeński. Formalności do tej nowej a długiej wędrówki życiowej dwojga młodych ludzi załatwia się bardzo szybko. Z upoważnienia swego rodziciela, udaje się młodzieniec do ojca swej wybranej i tu wykrztusiwszy pod jego adresem litanję obłudnych komplementów, wyjawia cel swego przybycia. Rzecz naturalna, że ojciec przyszłej oblubienicy oddaje mu ją bez zbytnich skrupułów. Czy ma ona chęć i wolę wyjść za mąż, nikt jej o to nie pyta. Wystarczy, że jest uznana za pannę dojrzałą, co u mieszkańców „ognistej Sahary“ równa się ukończeniu 12-go roku życia. Dziki ten obyczaj ludów Afryki kojarzenia niemniej dzikich małżeństw, wyjaśnia powód szerzącej się między niemi degeneracji. Potomstwo fizycznie nierozwiniętych rodziców, odnosi zawsze jakąś skazę bądź to na ciele, bądź też na umyśle. Niedostateczne rozwijanie się organizmu szczególnie u kobiet, jest także chorobą dziedziczną, powiększaną niedostatecznem odżywianiem się, czego powodem jest liczna śmiertelność.

Tragedja na okręcie. Parowiec amerykański „Margaret Dollar“ spotkał w pobliżu Seattle na wybrzeżu Alaski statek, który wydawał się opuszczony. Po przyholowaniu statku do Seattle, urzędnicy celni, którzy udali się na jego pokład, odnaleźli we wnętrzu statku dwóch marynarzy wychudzonych do ostatecznej granicy i obłąkanych. Oprócz tego znaleziono na statku szkielety ośmiu marynarzy. Po przeprowadzonych badaniach okazało się, że statek rybacki błąkał się od więcej niż sześciu miesięcy po oceanie, nie posiadając ani wody, ani środków żywności. Pozostali przy życiu marynarze żywili się przez cały ten czas ciałami swych towarzyszy.

Przemytnicy żywego towaru. Niedawno doniosły telegramy o strasznym losie emigrantów polskich, którzy bez pozwolenia chcieli się dostać do Ameryki. Dostali się oni w ręce przemytników żywego towaru, którzy nieszczęśliwych wsadzili do łodzi, mającej ich rzekomo zawieźć na brzeg, tam ich obrabowali a potem wrzucili do morza. Obecnie pisma zagraniczne podają szczegóły zbrodniczej działalności tej bandy. Bardzo wielu przemytników mieszka w Hawannie, utrzymując się jedynie z tego niepewnego i nieczystego źródła dochodów. Najniebezpieczniejszymi jednak są przemytnicy, zajmujący się transportowaniem ludzkiego towaru. Jestto zorganizowana banda licząca około 300 członków, która ułatwia emigrowanie obcym do Ameryki Północnej, aczkolwiek imigracja obcych jest w Ameryce ustawowo wzbroniona. Banda pobiera od emigrantów 200 do 250 dolarów za głowę. Transportują ich na łodziach motorowych, z których każda pomieścić może około 30 osób. Organizacja ma swoich agentów, którzy ludzi niezadowolonych ze swojej ojczyzny, przeważnie zaś biednych i nieszczęśliwych zławiają w swe sieci, narażając na straszne przejścia a nawet śmierć. Zazwyczaj połowa ceny przewoźnej jest im zgóry wypłacana przez emigrantów, druga połowa zaś w Ameryce. Następnie bywa wyznaczony dzień podróży i zwykle w nocy wyrusza łódź motorowa, wioząc 25 do 30 osób. Pasażerom nie wolno mieć żadnych pakunków, tak, że każdy zmuszony jest zabrać ze sobą jak największą ilość pieniędzy, ażeby w Ameryce móc przez dłuższy czas z własnych funduszów się utrzymać i posprawiać sobie wszystko co potrzeba. Do niedawna powodziło się przemytnikom wcale nie źle. Ale o ludziach, którzy tę jazdę odbyli, nie słyszano więcej. Dzienniki przynosiły wiadomości, że policja wyławiała poszczególnych emigrantów w porcie i zatrzymywała w areszcie. Niektórzy z tych nieszczęśliwych byli obwożeni po morzu przez przemytników, a potem wysadzani na pierwszą lepszą wyspę, z tem zapewnieniem, że to jest Floryda w Stanach Zjednoczonych.



Innych znów, jak to przedstawia nasz obrazek, wywieziono na morze, a obrabowawszy z pieniędzy i odzienia wypchnięto w morze, z których część znalazła śmierć w otchłani morskiej, część, zaś natrafiwszy jakąś wywroconą łódź, wdrapała się na nią, a zobaczywszy po długiem wyczekiwaniu płynący w dali okręt, rozpaczliwem wołaniem i znakami wzywała ratunku. — Dopiero przed niedawnym czasem udało się kilku sprytnym urzędnikom kryminalnym na Kubie wykryć całą bandę przemytników ludzkiego mięsa, który od szeregu lat popełniali zbrodnie za zbrodniami. Przemytnicy ci nie mieli nawet zamiaru dostawiać emigrantów do Ameryki, gdyż byłoby to dla nich rzeczą zbyt niebezpieczną, ponieważ statki wartownicze ostrzeliwują łodzie przemytnicze. Przemytnicy rekrutujący się z ostatnich wyrzutków społeczeństwa, bandyci i oszuści, namówiwszy ludzi do jazdy, kazali sobie zaraz zapłacić cenę przejazdu, a gdy łódź motorowa była na pełnem morzu, napadali pasażerów, a wymordowawszy ich, obrabowali trupy z pieniędzy. Następnie wrzucali je do morza. W ten sposób zginęło dotychczas niemniej niż 600 ludzi, którzy chcąc potajemnie przedostać się do Ameryki, stracili życie. Jest to poprostu rzecz trudna do wiary, że za naszych czasów podobne zbrodnie dziać się mogą i tak długo pozostać niewykryte. Obecnie unieszkodliwiono tych masowych morderców, ale któż wie, czy to była jedna jedyna banda, czy ich więcej nie uwija się po morzach i u wybrzeży Ameryki?!

Wróg kobiet, kawy, herbaty i tytoniu. Prorok hinduski, Ghandi, rozpoczął gwałtowną krucjatę przeciw miłości, kawie, herbacie i tytoniowi. Zdaniem proroka miłość odbiera spokój duszy, kawa i herbata podnieca nerwy, a tytoń zatruwa mózg. Człowiek powinien się wyzwolić z wszelkich namiętności i unikać trucizn wymienionych, gdyż kobieta — zdaniem Ghandiego — jest najniebezpieczniejszą trucizną dla mężczyzny, przywiązuje go do rzeczy doczesnych, i odwraca ducha od wieczności.

RZECZY CIEKAWE.

Czem interesują się kobiety.

Jeden z dziennikarzy angielskich zestawił dane, tyczące się kolejności upodobań, żywionych przez swych rodaków i rodaczki. A że zestawienie to zdaje się być trafne nietylko w stosunku do Anglików i Angielek, powtarzamy je więc poniżej:

A więc według tego obserwatora angielskiego, mężczyzna interesuje się: 1. sportami; 2. interesami; 3. innymi mężczyznami; 4. nowinami dnia; 5. rozrywkami; 6. kobietami; 7. sprawami rodzinnemi; 8. modami męskiemi; 9. anegdotkami.

Kobieta natomiast: 1. mężczyznami; 2. modami damskiemi; 3. innemi kobietami; 4. rozrywkami; 5. sprawami rodzinnemi; 6. sportami; 7. interesami; 8. nowinami dnia, któremi wogóle najmniej się kobieta interesuje, o ile nie chodzi o nią i jej — przyjaciółki.

Jak różne narody sypiają?

Europejczyk lub Amerykanin śpi najlepiej, mając pod głową miekką poduszkę. Japończyk zaś kładzie się na rogóżce na ziemi, pod głowę podkłada twardy czworograniasty pieniek, bez którego nie uśnie. Chińczyk dba wielce o swe łóżko, które bywa drewniane, bardzo niskie i częstokroć misternie rzeźbione; za materac używa rogóżek. Mieszkańcy ziem północnych nie mogą spać, nie mając dostatecznego miejsca na wyciągnięcie nóg, mieszkańcy zaś podzwrotnikowi kurczą się jak małpy i śpią w tej pozie doskonale.

Anglik zawija się w kilka kołder i częstokroć w czasie ostrej zimy śpi przy otwartem oknie. Przeciwnie robią Rosjanie: najchętniej śpią w pobliżu pieca. Lapończyk włazi głową do worka i śpi w nim wygodnie. Podobnież worka używa mieszkaniec Indyj wschodn. ale worek ten nie jest tak ciepły i ma za cel niedopuszczenie komarów .Anglik ma poduszki z pierza, lecz lubi siennik i materac włosiany. Niemcy i Czesi lubią spać na pierzynie i pod pierzyną. Podobnież i lud nasz.

Największy samolot pasażerski.

W Niemczech kończą obecnie budowę olbrzymiego samolotu pasażerskiego, przeznaczonego do podróży z Europy do Ameryki. Samolot ten ma 10 motorów o sile tysiąca koni każdy. Jego waga netto wynosi 115.000 klg., zaś waga ładunku wraz z ludźmi może dojść do 25.000 klg., w czem 6.000 klg. bagażów. Ilość pasażerów obliczona jest na 130, zaś załogi na 35 ludzi. Największa szybkość obliczona jest na 300 klm. Samoloty tego typu mają służyć dla regularnej komunikacji między Berlinem a Nowym Jorkiem, oraz między Berlinem i Ameryką południową (Buenos Aires i Montevideo) przez Szwajcarję, Marsylję i wyspy Kanaryjskie.

Wiecznie płonące miasto.

Czerwone języki płomieni, to wcale nierzadkie zjawisko w Konstantynopolu. Niemal codzień mkną ulicami pojazdy straży ogniowej, które swym zgiełkiem i dzwonkami wywołują niebywałe zamieszanie. Nieraz się zdarza, że wysiłki tej straży uwieńczone są upragnionym skutkiem, ale dwukrotnie w ostatnich czasach pastwą płomieni padły całe dzielnice. Tak n. p. spłonęła cała dzielnica w Skutari, kiedyś miasta derwiszów, a trzysta domów zamieniło się w perzynę. W samym Konstantynopolu spłonęła cała ulica, to znaczy z górą 200 domów i sklepów oraz 63 składy drzewa. Co jest przyczyną tak strasznych i częstych pożarów? Przedewszystkiem sam system budowania, bo wznoszone tam domy są zazwyczaj budowane bardzo ciasno, jeden obok drugiego, a że jedynym materjałem budowlanym jest drzewo, bardzo silnie wysuszone promieniami słońca, że urządzenia wodociągowe ciągle zawodzą, więc lada wypadek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, staje się dla Konstantynopola żywiołową katastrofą. Jak dalece ogień daje się we znaki ludności stolicy Turcji, wnosić można z danych, dotyczących statystyki pożarów w ciągu lat kilkudziesięciu. Większe pożary pochłonęły: w roku 1871 — 3 tysiące domów; w r. 1894 — 350 domów; w r. 1895 — 362 domy; w r. 1901 — 263 domy; w r. 1904 — 332 domy; w r. 1906 — 1.200 domów; w roku 1914 — 1.330 domów; a w roku 1917 aż 7.500 domów. Ogółem zaś w ciągu ostatnich lat siedmdziesięciu ogień strawił w Konstantynopolu 60 tys. budynków, co daje przeciętną cyfrę niemal 900 domów rocznie. Dziś stolica Turcji posiada coprawda, wzorowo pracującą straż ogniową, ale niedawno jeszcze, nawet w czasie wojny światowej, tamtejsza straż nie miała nawet koni, a narzędzia służące do gaszenia ognia noszono w ręku lub ciągnięto na ręcznych wózkach! Wprawdzie każdy śpieszył się, bo za przybycie na miejsce przed innymi, otrzymywał nagrodę. Łatwo jednak domyśleć się, jak mało z takiej straży było pożytku, szczególnie, że w Konstantynopolu zawsze było trudno o wodę.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Krawczyk** w Z.: Wiersz zupełnie dobry. Dzięki. — **Henryk Biłka-Głębicki** w S.: Ależ słów: „dąży-należy", „sama-kochana", „woła-uchwyciła", itp. rymować nie można. Aby pisać wiersze, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, co to jest wiersz. W koszu. — **Kazimierz Żelazowski** w M.: Umieszczanie rebusów i krzyżówek zbyt dużo kosztuje, bo z każdego rebusa trzeba robić klisze, a na to nas nie stać. Może być, że na przyszły rok i na to sobie pozwolimy. — **Karol Piegza** w R.: Czy djabeł żonaty? Prawdopodobnie, gdyż inaczej nie byłby taki zły. — **Antoni Zawrat** w N.: Wybory do sejmu odbędą się prawdopodobnie w dniu 26 lutego 1928 r. Walka, jak można już obecnie sądzić, będzie nadzwyczaj zacięta. Pomimo haseł, jakie będą głosiły te i owe stronictwa, będzie szło przedewszystkiem o to: kto zwycięży, zwolennicy, czy przeciwnicy Marszałka Piłsudskiego. I można przypuszczać, że jeżeli zwyciężą zwolennicy, to wszystko potoczy się dalej według dotychczasowego trybu. Gdyby zaś zwyciężyli przeciwnicy, toby musiało przyjść albo do nowego przewrotu, albo do powtórnego rozwiązania sejmu i do zmiany ordynacji wyborczej. Już dziś dają się zauważyć pierwsze jaskółki wyborcze, dalsze wyjaśnienia najbliższa przyszłość przyniesie. Oczywiście, gdy sejm zostanie rozwiązany, a wybory rozpisane, my bezstronnie będziemy informowali naszych Czytelników o ruchu wyborczym. — **Karol Nizioł** w M.: „Abrahama Pinkta" skończymy drukować w następnym numerze, poczem rozpoczniemy druk pięknej powieści biblijnej p. t.: „Wskrzeszenie Łazarza". — **Katarzyna Wolska** w U.: Droga do prawdy prowadzi tylko przez śmierć; za życia nikt jej nie poznał. — **Jan Nalepa** w P.: Dla szewca zrobienie buta nie sprawia żadnej trudności, jak dla poety napisanie wiersza, ale Pan ani jednego ani drugiego dobrze nie potrafi. — **Wł. Woźniak** w D.: O wiadome książki prosimy się udać do księgarni Krzyżanowskiego i prosimy powołać się na zlecenie Administracji „Roli". Jeżeli Pan sobie życzy jaką książkę, to może Pan wysłać w liście marki pocztowe, a księgarnia już Panu prześle czy to powieść jaką stosowną, czy samouczek lub poradnik jaki zawodowy i t. p. — **Maryla „Widz"** w O.: Cieszy nas ogromnie radość Pani. Omal że i my nie skakaliśmy z uciechy. Nic dziwnego, już taka jest natura ludzka. Miłą obietnicą bardzo się cieszę, a oporu nie będę stawiał, gdyż jestem miękkiego serca i ogromnie nieśmiały, szczególniej wobec kobiet. Coś taksamo jak Maciek Bzdura. — **Ludwik St. Unsing** w B.: Wszystko pójdzie powoli. Cieszę się, że mogę uczynić zadość Pańskiemu życzeniu. Łączę pozdrowienia.

Zgubiono książeczkę wojskową na nazwisko Jan Zawada urodzony w roku 1898 w Dąbrowicy, powiat Dąbrowa.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryfy.

(Ułożył Andrzej Węgliński w B.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gatunek kaszy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gatunek koni.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Góry w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miejsce kąpielowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Metal szlachetny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Palestynie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Lubelskiem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę pociągowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Walka inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńszie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rodzaj paszy
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Tytuł gazety.

Litery czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko sławnego króla polskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Tadeusz Biernacik).

Pierwsze drugie człowiek znany
Przez Polaków nie lubiany,
Trzecie drugie mają ludzie,
Gdy ich zimno w nos zawiedzie,
Trzeciego pierwszego mają
Gdy wyrok śmierci wydają.
Całość to roślina znana,
Bo po wioskach uprawiana.

II.

(Ułożył Wł. Bulek z O.).

Dziś każdy zły bywa, pierwsze, drugie, [czwarte,
Dla każdego wtedy są tam drzwi otwarte,
Gdzie ludzie dobrani i gdzie pierwsza [druga
A nawet za drugie, czwarte, bardzo długa,
W wodzie złowisz w sieci, drugiego, pierw- [szego,
Trzecia, druga bywa, u drzewa każdego,
A czwarte dość często żydzi wymawiają.
Wszystkie, choć nie miłe, w mieszkaniu [bywają.

III.

(Ułożył Wł. Bulek z O.).

Gdzie się woda zbierze, pierwsze, drugie, [trzecie,
Pierwsze, drugie, czwarte, wie to każdy [przecie
Gdy się drudzy, trzeci zejdą przyjaciele,
Pierwsze, trzecie któryś, trzecie, drugie [śmiele
A każdy niech swojej pilnuje całości,
A uniknie biedy i wielu przykrości.

3. Zagadka.

(Ułożył Jerzy Klausner z K.).

Wprost czy wspak mówimy, zawsze przyrząd do patrzenia mamy.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Szymon Tadanier z L.).

R. KEALZ.

Z. L. RAMA.

E. PUCKI.

Czem są te osoby?

5. Przestawianka.

(Ułożył Antoni Marchlik z K.).

zo, bie, bie, dy, ne, zie, to, śpie, ją, wioł, wsta, mia, mo, wa, wszel, kie, rze, ży, to, ran, to, bie, chwa, Bo, po, ki, wiel, ki, bądź, ton, że.

Z powyższych zgłosek ułożyć znaną pieśń.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa d. 4 grudnia br.

Znaczenie zagadek z Nru 46 „Roli“: 1. Logogryf: Napoleon Bonaparte. 2. Szarady: Kraków. Niezapominajka. 3. Łamigłówka: Woźnica. 4. Zadanie matematyczne: 3—5—7—9—11—15. Zadania konikowe: Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli — urosłem. 2. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Jechał raz Maciek Bzdura furmanką z Krakowa
Obok na wozie Kaśka, za furmanką krowa
Na sznurze uwiązana szłapała powoli
A Maciek ciągle myślał, o czem gadać w „Roli“
Coś dał Maćku za krowę, pyta Kaśka w drodze,
Na to pytanie Maciek zadumał się srodze,
Czekaj niech porachuję, pięć siedm piętnaście,
Trzy co wziąłem za jajka, potem jedenaście.
Na ostatku dodałem dziewięć i kupiłem,
Dokumentnie pół setki za nią wyliczyłem.
Ty wiana nie dostaniesz, a w domu prócz żony,
Dla przychowku potrzebne są także „ogony“.
Po tych słowach wydobył za pazuchy fajkę,
A Kaśka zobaczywszy niezapominajkę,
Zeskoczyła ją zerwać pech ją prześladował. —
Kąpiel borowinową w błocie jej zgotował. —
Maćczysko ją pociesza, że przecież nie z soli,
Kaśka dotąd wyrosła; a że ją „coś“ boli. —
Gościniec nie pierzyna; Nawet Bonaparty,
Wracając z Moskwy upadł i to nie na żarty. —
Kaśka się ozeźliła Maćka opuściła,
I do wsi Zatracony piechotą wróciła.
A Maciek porcjami dym puszczając z fajki,
Ciągle myślał o figlu niezapominajki.

St. Nowak.

Gdy Napoleon cesarz Bonaparte,
Mieczem nakreślał historji kartę,
Cieszył się Kraków wierząc obietnicy:
Że wskrzesi wolność sarmackiej ziemicy,
Lecz obietnica jest czasem jak bajka,
Więc by mu posłużyła niezapominajka.
A chociaż w gwiazdę szczęścia swego wierzył,
Słuszną pokutę Pan Bóg mu wymierzył.
Bo miał na wyspie czas na rozmyślanie,
Rozwiązywałby więc z nudów zadanie.
Pana Króla: jak w sześciu stajniach zmieścić
Owiec pięćdziesiąt, by ludom obwieścić
Że trzy, pięć, siedm, dziewięć, jedenaście,
A do ostatniej zapędził piętnaście.
Nasz pan Czarnecki całe życie strawił
W służbie dla kraju: przykład nam zostawił.
Że: nie wyrosłem ja z soli, ni z roli
(Powiedział:) Ale z tego co mię boli.
Iść za cną radą jest pięknym zwyczajem:
Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Jan Bylica.

Ułożyli czytelnicy różne łamigłówki,
Ja musiałem w nocy spalić ze cztery łojówki.
Lecz me trudy i wydatek były tego warte,
Bo cesarzem w „Logogryfie“ był N. Bonaparte.
Sens szarady — miasto drogie dla serca Polaka,
Stary Kraków — założony przez praszczura Kraka.
Druga z szarad — skromny kwiatek niezapominajka,
A niech autor mi napisze, czy już zdrowa Janka?
Łamigłówka to gwiazdozbiór nazwany Woźnica,
Zaś sąsiadka jego zwie się Mała Niedźwiedzica.
Matematyk Król Antoni porozdzielał owce
W 6-ciu stajniach sztuk 50 niech liczy jak kto chce.
Ja wyliczył: 3, 5, 7, 9, 11
A w ostatniej stajni wreszcie sztuk owiec 15.
Zadanie konikowe — słowa Czarneckiego:
„Ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli urosłem“
Bo też sławę i hetmańswo zyskał z bólu swego.
Jeszcze jedno mam zadanie i czas już do spania,
„Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje“, chcę i ja wstać z rana.

A. Lichorowicz z Hrubieszowa.

Oprócz tego w oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Wł. Marko z K., Mieczysław Buszek z P., „Yoga“ z K., Józef Bartula z B., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Piotr Wenc z S., Wojciech Ciepiela z B., Fl. Ciebiera z Rz., Jan Patulski z O., Antoni Lachowicz z M., Zygmunt Lang z T., Kazimierz Żelazowski z M., „Adar“ z Krakowa, Czesław Kozłowski z W., Władysław Soból z I., Jan Rogóż z M., Adolf Liebeskind z K., Władysław Solak z T., W. Szewczuk z J. (wierszem), Jan Maniecki z D., Henryk Biłka-Głębicki z S., Alfons Czader z S., Stanisław Czader z S., Feliks Popielarczyk z W. D.

Nagrody wylosowali pp.: „Yoga“ z K. i A. Lichorowicz z H.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Rozczarowanie.

Para małżeńska z dwiema dorosłemi córkami spaceruje od godziny. Jakiś pan sunie się za nimi krok w krok.

— Zapewne wpadła mu w oko nasza Irma — robi uwagę matka dziewcząt do męża.

— Ależ, gdzie tam!

— To w takim razie spodobała mu się chyba Ada.

— Też nie sądzę.

— W takim razie, pocóż snuje się za nami od godziny?

— To za mną, bom mu winien sto złotych.



Ciekawa.

— Mój mąż, proszę pana doktora, rozmawia przez sen. Czy nie ma pan doktór jakiego środka...

— To bardzo trudno wyleczyć.

— Nie o to mi chodzi. Chciałabym jaki środek, żeby mówił wyraźniej.

Humor wschodni.

Ismaelowi, wielkiemu łobuzowi i próżniakowi, udało się dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności otrzymać stanowisko muezzina w meczecie. Pierwszego dnia zapytał wiernych:

„Czy wiecie, co ja Wam chcę powiedzieć?"

„Nie odkrzyknęli chórem wierni.

„W takim razie niema celu, bym do Was mówił, albowiem jesteście zbyt nierozumni, by mnie zrozumieć".

Następnego dnia wierni na to samo pytanie odpowiedzieli: „Tak".

Naco ich Ismael pouczył: „Jeżeli wiecie, to nie potrzebuję Wam powtarzać". Rzekł i zstąpił z mównicy.

Trzeciego dnia Ismael znowu zapytał: „Czy wiecie wreszcie, co ja wam chcę powiedzieć?"

Słuchacze Ismaela umówili się wprzód i odparli: „Jedni wiedzą, drudzy nie".

„Ałłach jest wielki! Niech więc ci, którzy wiedzą powiedzą tym, którzy nie wiedzą! Dobranoc!"

I spokojnie Ismael opuścił meczet.



Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 22 listop. b. r.

Pszenica	49·50—51·00	Słoma długa	6·50—7·50
Żyto	40·00—40·50	Ziemniaki stoł.	8·00—8·50
Owies	37·00—38·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień	39·00—40·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	26·00—27·00
Fasola biała	43·00—45·00	Mąka żytnia	61·50—62·00
Groch zwyk.	00·00 00·00	Mąka pszen.	81·50—82·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

OKŁADKI NA „ROLĘ“ twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następuje zaraz.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.